

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 17.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 9⁹/₂₁ stycznia 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Ignacy Kraszewski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Huszarze polscy (z drzeworytem). — Widzenie, poezya (z drzeworytem). — Kościół i klasztor panien Benedyktynek w Sandomierzu (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Słów kilka o instytucjach kredytowych, a mianowicie o bankach szkockich i domu zleceń rolników płockich. — Sukienice w Krakowie (z drzeworytem). — Szachy i rebus. — Kronika zagraniczna. — Korrespondencya „Tygodnika Ilustrowanego”. — Kwestya podrzędna, przy kominkowym ogniu rozbiwana (ciąg dalszy). — Gwibr, poezya. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

Józef Ignacy Kraszewski.

Zbytecznym zdaje się określać stanowisko Kraszewskiego w literaturze naszej. Kto go nie zna? Kto nie czytał? Na skrzydłach wszechstronnego talentu przeniknął on zarówno do poważnych, jak i lekkich umysłów, zarówno do wykwintnych gabinetów, jak do ubogich poddaszy. Po wielkim narodowym wieszczu, niema może u nas pisarza równie popularnego, bo też mało komu dana była z góry taka sympatyczność słowa, a przytém mało kto posiada tak łatwą i obfitą twórczość, która blisko trzydziestą laty wielostronnej a nieustannej pracy nie dała się zużyć, owszem wstępuje na coraz nowe drogi, coraz z nowego zasila się źródła i coraz nową jaśnieje świetnością.

W pierwiastkowych, zapewne bardzo młodocianych twórcach Kraszewskiego, które pisał pod pseudonimem *Kleofasa Fakunda Pasternaka*, jako też w kilku pierwszych powieściach, które właściwem podpisał imieniem, niktby jeszcze nie domyślił się tej wielkiej przyszłości, jaka go czekała; ale już i tam, obok ubóstwa myśli, widać ten swobodny lot słowa, który znamionuje silny organizm autorski i zdolność przyjmowania na własność zewnętrznych wrażeń. Później dopiero *Wędrowki literackie* okazały w nim człowieka zapatrującego się na świat z myślą filozofa, z fantazyą poety, świadczyły prócz tego, że młody autor nie ogranicza się na poszeptach własnej myśli, ale że ta myśl jego zbiera się przechodzić ścieżki po których chodziła ludzkość, nim zaszła na ten szczebel postępu, na którym ją widzimy obecnie. To kształcenie się filologiczne, czyli, według definicyi Boekha, ponawianie pojęć o rzeczach już pojętych — jak było u Kraszewskiego zasadniczem, tak też objawia się w całym obszarze umysłowej działalności, i to właśnie jest co go wyróżnia od innych, mniej albo inaczej ukształconych pisarzy sfery belletrystycznej, i co mu nadaje znamię uniwersalności, nie nadając wszelako nieznośnej barwy kosmopolityzmu.

W piśmienniczym zawodzie Kraszewskiego nie-

małą rubrykę zajmują prace dokonane na polu historyi, a nawet archeologii w zakresie własnego narodu. Dosyć tu wspomnieć *Historyę miasta Wilna i Litwy*. Nie jest to w dziedzinie historycznej badacz ścisły, źródłowy; nie posunął historyi ani na krok, czy to nowem odkryciem, czy rzuceniem nowego krytycznego światła. Z tej strony owszem byłoby mu, pod pewnym względem, nieco do zarzucenia; ale ma tę zaletę, i tej zdaje się tylko poszukiwać pragnął, która w dziejach chwyta główne zarysy i na nich opiera grunt obrazu dającego się ogarnąć jednym rzutem oka. Nietyle ztamtąd dobywa się nauki, ile wrażenia, a tém

Kraszewskiego, każdy z przyjemnością weźmie w rękę i z łatwością odczyta, a jeżeli nie zostanie przez nie zachęconym do ściślejszej nauki, to poprzestając nawet na tém co tam przeczytał, może powiedzieć że tanim kosztem przyszedł do ogólnych wiadomości dotyczących tej części kraju. Przeszłość nietylko nakłaniała naszego autora do studyów historycznych; zapragnął on nadto być jej poetycznym tłumaczem, i wyrazem tego dążenia są księgi znane pod ogólną nazwą *Anafielas*. Rozbudził on tam dawne wspomnienia wiary, obyczajów, obrządków; czerpał z obfitego materiału tradycyi ludowych; poruszył postacie bohaterów sławy i potęgi: przystąpił do dzieła z miłością wielką, ale bez przygotowania. Dlatego też, jeśli w tych jego utworach znajdujemy ustępy prawdziwie natchnione, za to całość poetyczna zbyt drobną i wiotką jest, w porównaniu z kształtami które objąć zamierza. Aby wskrzesić i w ogniu poetycznym postawić jakąś odległą epokę, trzeba nasamprzód samemu umrzeć dla terażniejszości, trzeba drogą umartwienia i skupienia się w siebie samego wyrabiać ducha i wzbijać go do jednego punktu, tak jak czynili ascetowie, którzy zamierali dla tego świata, aby jaśniej mogli wpatrzeć się w świat przyszły. Co oni czynili dla przyszłości, to poeta dla przeszłości uczynić winien, aby ją z grobów czasu do duszy swęj przywołać, aby ona w sercu jego ożyła i ogrzała się krwią jego ciepłem. Kraszewski, przystępując do tego zamiaru, nie odbył tej ascetycznej drogi, i dlatego przeszłość ukazała mu się w chłodnej i mglistej postaci. W ogóle wiersz jest czémś obcym, jakby niewłaściwem dla Kraszewskiego: jego tom *Poezycj*, jego inne, rozmaitemi czasy ogłaszane, utwory wierszowe, nawet *Wioska* z ostatnich czasów, są jakby płodem innego pióra, tak w nich trudno poznać tego pisarza, który gdzieindziej w prozie rzuca takie bogactwo poezyi.

Nie obcą też była Kraszewskiemu krytyka piśmiennicza: jego prace na tém polu, jako to *Studia literackie*, a następnie *Listy*, które peryodycznie zasilał „Gazetę Warszawską” (lubo te ostatnie mają więcej charakter pogadanek), niemało przyczyniły się do podniesienia dzieł podówczas wychodzących, do rozjaśnienia stanowiska autorów i wzbogacenia opinii ogółu. Żywy, pociągający i pełen zajęcia sposób traktowania rzeczy najmniej nawet posiadających materiału do zajęcia ogólnego, to tajemnica Kraszewskiego, którą on najwięcej może rozwinął w potocznych studiach nad literaturą i społeczeństwem.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI.

(Rysował Gerson podług fotografii Beyera, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika”.)

samém taki rodzaj pracy jest do ściślejszej historyi zachęta i pierwszym stopniem. Ogromnego rozmiaru i pracowitego układu historya Litwy Narbutta, nie dla każdego może być przystępną, nie trafi do smaku temu, co nie przewiduje znakomitej korzyści jaką może odnieść z jej przeczytania: dzieło o Litwie

Niema tak ciężkiego przedmiotu, którego by on stylem swym nie potrafił, że tak powiem, upowietrzyć, tak iż nawet systemata filozofów, jak Hegla i Trentowskiego, pod jego piórem potraciły tę odstraszącą barwę, która odwodzi od nich ogół czytelników. Prawda, że te systemata nie są tam objaśnione wyczerpująco, ani z dostateczną głębokością, jednak tylko Kraszewskiego studia dały je poznać, choć powierzchownie, tej klasie, daleko liczniejszej, czytelników, która oryginałów nigdy czytać nie będzie, a ściślej nad nimi studiów, nawet we własnym języku, zkażinąd także bardzo niedostatecznych, nie zrozumieć.

Wszystko to dowodzi, że gdyby Kraszewski za główne zadanie położył sobie, czy to historią, czy literaturę naukową, to przy nauce jaką posiada i tym wrodzonym ciepłym jakie pióro jego ogrzewa, tudzież, co niemiernie ważnym jest, przy skłonności do najmłodniejszej pracy, mógłby na tym polu, jako badacz i krytyk, zejść bardzo daleko; ale, czy to upodobanie, czy przekonanie o innego rodzaju misji piśmienniczej, skierowało go do innego głównego punktu. To cośmy dotąd wymienili, lubo każdemu innemu mogącemu już zapewnić właściwe w okresie piśmienniczym znaczenie, jednak w działalności Kraszewskiego jest tylko podrzędne. Główną firmą, obliczem pod którym ogół nalepij go zna i najwięcej ocenia, formą pod którą on najmocniej talentem swym zajaśniał, jest powieściopisarstwo.

Aby ocenić należycie zasługę jaką Kraszewski na tym polu położył, trzeba sobie koniecznie przypomnieć, czém było u nas przed nim powieściopisarstwo. Zostało cokolwiek oryginalnego remanentu z czasów Niemcewicza, Wężyka, Kropińskiego, Skarbka i innych, którzy dobrze już czas swój przetrwali; ogół czytający zasiliał się tłumaczeniami arcydzieł Walterkotta, powieści Pawła de Kock, Ducange'a, d'Arlincourta, Anny Radcliffe; słowem, zalani byliśmy potokiem obcej produkcji różnaitej wartości, zupełnie tak jak sklepy nasze zalane są dotąd cudzoziemskim towarem. Zdawało się, że nie jesteśmy zdolni nie podobnego czerpać sami z siebie, że nasze życie, obyczaj, zła i dobre strony towarzyskie, że te dramata codzienne, które wygrywają nasze skłonności i namiętności, albo są niegodne pędzla artysty, albo przejdą bez żadnego widomego śladu. Jednak myśmy tacy ludzie jak i drudzy, i w naszym życiu tyleż jest materiału dla artysty, co i u drugich, — a to właśnie domowe życie, te wewnętrzne stosunki, to kraj podległy berłu powieści. Nie można zaprzeczyć, że ogół lubi czytać; nim wyjdzie z ocieźalstwa i gnuśności, nim zasmakuje w rzeczach poważnej treści, powieść będzie jedyną, najpopularniejszą formą, przez którą słowo docisnie się do jego pojęcia. Zkażinąd, pomijając nawet pewne usposobienia czasowe i miejscowe, powszechność nigdy nie straci upodobania do powieści, bo człowiek rad widzieć siebie tępym, czém jest w swój istocie, i z równą przyjemnością patrzy czy go malują czarno, czy biało, byle malowano dosadnie i prawdziwie; a nie tak szczegółowo go nie odmaluje, jak powieść, tak pełna swobody. Nie dziw że ogół nasz, nie mogąc zasycić tego pragnienia u własnego źródła, szukał go gdzieindziej. Ale cóż to była za pociecha: usuwając ze szranków Walterkotta, jeden tylko z tłumaczonych podówczas, Kock, posiadał zalety mistrzowskiego malarza obyczajów, wyborowy humor i niekiedy mocno do serca zadźwięczał. Inna rzesza tworzyła jakieś znikczemniałe epopeje wypadków i rozlewała sentymta miłosne, od których nie ani do głowy, ani do serca nie przybyło; słowem, było to okrutne morderstwo czasu, bez żadnej moralnej i estetycznej korzyści. Taki stan rzeczy zastał u nas Kraszewski: porównajmy go ze stanem dzisiejszym, myślą przebieżmy cały postęp, i powiedzmy, jak prawda, że cały ten postęp odbył się pod jego przewodnictwem, a wtedy zasługa jego będzie dla nas jawna.

Zamiłowanie historii przeniósł Kraszewski i do powieści, ale ten rodzaj nie jest najświetniejszą stroną jego talentu: w tym zasługa pierwszeństwa i przywództwa zawsze należy Rzewuskiemu; Kraszewski stanowi u nas epokę w powieści społecznej, obyczajowej, a ta datuje od utworu: *Świat i Poeta*. Odtąd następuje szereg tego rodzaju prac, które z wolna wywoływały ruch w całej belletrystyce i z gruntu zmieniły kierunek powieściopisarski. Autor nasz dostrzegł zmiany tego kierunku za granicą, i widząc jego wyższość, poszedł za nim tak, jak Mickiewicz poszedł w poezji za ruchem Getego i Bajrona. Dotąd rzeczy-

wicie, jak wspomnieliśmy wyżej, powieść obyczajowa była poprostu romansowaniem dwojga kochanków, przeplatanem rozmaitemi wypadkami, tak iż lada kto, z niezłym stylem i dobrą dozą sentymtalności, mógł skleić powieść przypadającą do gustu publiczności, która nie mając nic lepszego, musiała na tępym poprzestawać; dlatego też i u nas zachwycono się romansem *Julia i Adolf*, nie odrzucano nawet powieści Kaliksta Pawłowskiego. Byłoby jakby dalszy ciąg, z pewnym przeistoczeniem w formie, ducha powieści rycerskich, które szły z Ariosta, ale wyradzając się w coraz bardziej karłowate, niezgrabne i suche pnie, im dalej były od pierwiastkowego drzewa. Kraszewski trafił na te czasy, kiedy powieść zagraniczna, zarzucając już ten charakter anekdotyczno-sentymtalny, przerodziła się w opowiadanie, które pod postacią lekką i barwną, zaczynało stawać się pewną kontrolą społeczeńską, zawierającą refleksy i satyrę, obraz i naukę. Od tego to czasu zaczynało spostrzegać się, że powieść jest *tendencyjną*, jakby to było coś nowego, kiedy przed dwustu laty też sama tendencyjność najwyraźniejszą jest w *Cerwantesie*: inna rzecz wszakże, jeśli artystyczna forma wzięta jest po prostu do posługi, dla przeprowadzenia jakiegoś morału, inna jeśli ten moral nieznacznie wybija się z pomiędzy liści i kwiecica artystycznego, jako owoc, który choćby i usunąć z przed oczu, nie przeto cała roślina z wdzięków i kształtów nie utraci. Otóż zadaniem powieści Kraszewskiego było i jest zawsze jakieś zadanie społeczne; szukał on człowieka we wszystkich warstwach, ale szukał go jako istoty moralnej, z namysłem filozofa, dobierał się do jego gruntu psychicznego, podśluchiwał wszystkich drgań, jego serca, badał go w jego indywidualności i w stosunkach towarzyskich, a co zimna analiza przyniosła mu w zdobyczy, to on, jako poeta, w żywym i gorącym przedstawił obrazie. Powieść jego przestaje być tedy zbiorem wydarzeń ślepo kierujących człowiekiem, ale raczej wydarzenia wszelkie przedstawia jako formy, w których się uzewnętrznia usposobienie i wolna wola człowieka postawionego do walki z życiem, w danych warunkach społecznych. Tym sposobem, zajmując się coraz więcej szczegółowo kreśleniem charakterów, przyzywając coraz więcej żywiołów namiętnościowych, powieść ta z opowiadawczego, przybiera z wolna charakter dramatyczny, który najsilniej wyraża się w jednym z ostatnich dzieł: *Powieść bez tytułu*. Tym to szeregiem prac, które dziwnym trafem rozpoczynają się i kończą utworami mającymi poetę za bohatera — Kraszewski o własnych siłach, z poziomu prawie absolutnej nicości dźwignął naszą powieść społeczną do stanowiska europejskiego.

Znamieniem twórczości Kraszewskiego nie jest ta dokładność kolorytu, że tak się wyrażę, cielesnego, w jakim celuje Korzeniowski; u niego więcej słycać muzykę duszy, u niego każda nawet opisowa scena więcej wyznacza się i maluje uczuciowością jak kolorytem; dlatego też nieporównany w kreśleniu tęsknoty i boleści duchowej, przedstawił on nam z całą prawdą stronę dramatyczną społeczeństwa, z taką samą prawdą, z jaką Korzeniowski przedstawia nam w powieści swęj stronę jego komiczną: ci dwaj autorowie wybornie się pod tym względem wzajem uzupełniają. I jakżeż Kraszewski nie miał być czytelnym, kiedy dla każdego z czytających miał jakieś słowo, pod którym tamten drgnął na widok podobieństwa uczucia lub obrazu z sobą samym, kiedy kręślił dzieje lub pragnienia jego własnego serca, kiedy mu, jednym słowem, mówił kto on jest, co wart i dokąd idzie?

Jeżeli nikt nie jest w stanie zaprzeczyć ogromnego wpływu, jaki tą drogą autor nasz wywarł na piśmiennictwo i na społeczeństwo, za to my zarzucić musimy temuż autorowi, iż niedość dla siebie samego zużytkował swój talent. Większa część jego dzieł jest jakby niedograną pieśnią, mało które przedstawia skończoną artystyczną całość; wszędzie widać z początku wielką staranność, a później jakąś niecierpliwą gorączkę przedkiego ukończenia, aby biedz do nowego pomysłu, co z najdotkliwszą szkodą objawia się w *Dziwadłach*, gdzie postać Graby widocznie wyrobić się mogła na jakiś typ dzisiejszej zacności obywatelskiej, odpowiadający podstolemu, a ograniczyła się na kilku zaledwie rysach, które zniknęły w powszechnym powodzi. Z takiego to braku staranności o artystyczne wykończenie poszło, że Kraszewski, pomimo ogromnego talentu, nie stworzył dotąd dzieła, którego tytuł

zrosłby się z jego nazwiskiem i przeniósł je na siebie w odległe czasy. Gdyby Kraszewski dziś przestał pisać, przeszedłby raczej do potomności jako autor wpływu i twórcą epoki, niżeli jako autor któregośkolwiek z dzieł — chyba *Chaty za wsią*.

Nie pisząc tu studium krytycznego nad autorem, ale wskazując ogólnie znaczenie jego w dziedzinie piśmienniczej, pominieliśmy wiele szczegółów dających pole do obszernej dyskusji i nie wyprowadzaliśmy z obszaru dzieł autora tego, co jak w każdym dziele ludzkim, ma swoją ujemną stronę. Zatrzymaliśmy się tylko nad ogólnym rezultatem, który w ostatnim swém słowie jest wielką dla powszechności naszej korzyścią. Nie możemy wszakże pominąć tej dziwniej jakiejś apologii pauperyzmu czy proletaryatu, która nieodstępna jest Kraszewskiemu, a koncentruje się w *Chorobach wieku*, przemawiając za patryarchalną stagnacją i biędą, przeciw wszelkiemu ruchowi przemysłowemu.

Nie wiemy czy Kraszewski będzie w dalszym ciągu uprawiał powieść, jako główny cel swego zajęcia, nie śmiemy zakreślać mu programatu, jednak ostatnie jego utwory, jak: *Resztki życia* i *Historja kolka w plocie*, są pod pewnym względem wskazówką, że czasby mu dać powieści spoczynek; ale z tępym wszystkim trudno to cośkolwiek o przyszłości mówić. Kiedy my, sądząc po tych utworach, widzimy w nim jakby upadek sił, wtedy właśnie pisarz ten może stworzyć powieść, która będzie arcydziełem. Jednakże dwie jego razem wychodzące prace, to jest: *Caprea i Roma* oraz *Dziś i przed trzystu laty*, które, lubo narracyjnego toku, są więcej studiami historycznymi epok, zdają się jakoby zapowiadać nowy zwrot w działalności Kraszewskiego.

Dawniejszemi czasy wychodziło w Litwie pismo peryodyczne *Ateneum*, ale upaść ono musiało w części brakiem sił własnych, w części brakiem sprzyjających okoliczności zewnętrznych. Nie zdobyło się ono na energią *Biblioteki Warszawskiej*, która w najkrytyczniejszych momentach jeszcze ratowała się wysileniami zacnych swoich orgdowników, i dziś, pomimo nieuznania ogółu, smakującego w lekkim tylko czytaniu, wzmaga się w siły, nie bacząc na liczbę czytelników i poprzestając na tych kilkuset wybrańszych, którzy się nią interesują i pragną od niej czegoś się nauczyć. *Ateneum* nie znalazło tej obywatelskiej pomocy, ucichło ono na Litwie, zniemała szkoda dla literatury naszej. Otóż dziś dawny redaktor *Ateneum* objął redakcją *Gazety Codziennęj*, podjął ten ciężki trud obok innych, aby i tu złożyć ogółowi daninę zaślugi. Dotąd nie mogliśmy się jeszcze dobrze w niej rozpatrzeć, ale mamy wszelkie powody spodziewać się, że Kraszewski ożywi to pismo ogniem swęj indywidualności, i że przeprowadzi przez nie też same zasady uczciwe i postępowe, jakich gdzieindziej dotąd był wyznawcą i organem.

Kronika tygodniowa.

Dlaczego na balach i wieczorach tańczących w re-sursie wielkiej tak mało bywa dam? Dlaczego galerya jest zawsze prawie pełna, a salon zawsze prawie pusty?... Oto pytania które zadaje sobie zapewne nie jeden z tych, którzy w braku wieczorów prywatnych poszli do re-sursy szukać ruchu karnawałowego i zawiadli się w nadziei.

Odpowiedź na to sama się nastęrcza. Na galeryą można iść w zwyczajnym, codziennym ubraniu, do salonu zaś konieczną jest świeża suknia, stroik na głowę, kwiaty, wstążki i t. d., a przy dzisiejszych wymaganiach tualetowych każdy taki wieczorek niemały deficyt stanowić może w budżecie domowym. Chęć życia nad stan i strojenie się nad możność do tego nas doprowadziły, że musimy unikać wszelkich zabaw, bo wprost nie mamy na nie. Kto ciekawy, niech przejrzy rachunki modniarek. Co dawniej było złotówką, teraz jest rublem; gdybyż tych rubli było tak jak dawniej złotówek... ale gdzie tam. Lada stroik na głowę kosztuje do dziesięciu rubli. Za skromną girlandę z kwiatów paryżkich, (a każda z naszych pań chce mieć teraz paryżkie) sto złotych trzeba zapłacić. Dodajmy że na suknie jakie noszą obecnie, wbrew dobremu przykładowi cesarzowej Eugenii, potrzeba dwadzieścia kilka łokci materiału, a materiał używa się kilka-

króć droższy niżli kilkanaście lat temu. Dawniej nie-
jedna panią umiała sobie i skroić, i uszyć suknią
na wieczór, i bardzo jej dobrze było w tym wyrobie
praktyki domowej; dziś wszystkie suknie oddają się
do modniarek i krawców, bielizna do szwaczek i t. p.
Rzadko która z pań naszych potrafi sama uczesać się,
potrzeba jej fryzjera, a i to także rubelek. W sukni
mającej dwadzieścia kilka łokci obwodu, podtrzymy-
waną stalową kryoliną, a wyrobioną z materiału,
który lada plamka w niwecz obraca, jakże tu iść pie-
chotą na bal i wracać piechotą? dorożki zaś zaplamio-
ne, zabłocone i zwykłe za ciasne. Trzeba nająć powóz,
to znów kilka rubelków. Słowem przy dzisiejszych wy-
maganiach, każdy bal i wieczór, to kilkaset złp. wy-
datku, a ta summa rośnie stosunkowo, jeżeli w domu
więcej jest niżli jedna kobieta.

Dobrze to dla tych pań, które sta tysięcy docho-
du liczą, które mają na swoje usługi powozy, gar-
derobiany, kamerdynerów i t. d.; ale dla średniej
klasy, a taką jest główna część członków resursy,
wydatki te są niewątpliwie zbyt wielkie. Boć raz przy-
znajmy sobie, tak oto w sekrecie między nami, że
nie jesteśmy wszyscy ani księżętami, ani bankierami,
ani panami milionowemi, ani liwerantami na wielką
skalę. Ot na przykład mój sąsiad, p. Franciszek, po-
siada dwa tysiące rubli dochodu na rok, i uważa się
już niybo za zamożnego; jeżeli połowę tego wyda
przez karnawał na przystrojenie i zabawę żony i dwóch
córek, coż mu się zostanie przez resztę roku na utrzy-
manie życia? Przypuszczam, że ty panie adwokacie,
albo ty panie doktorze, jako ludzie bardzo zdolni, bar-
dzo pracowici i wielkiej używający wziętości, zarabia-
cie po trzydzieści tysięcy złp. na rok. Jest to spory
bardzo dochód, przyznaję wam to. Ale pamiętajcie
o tem, że nie posiadacie żadnego prawie osobistego ma-
jątku, że Bóg wam dał drobne działki, że zresztą
człowiek nie jest tu wiecznym, a praca, gdy dojdziecie do
pewnego wieku, staje się już bardzo utrudniająca i ko-
niecznie trzeba sił i zdrowia oszczędzać; jeżeli więc
cały wasz roczny dochód wydacie, a co większa, bo
i tak się zdarza, jeżeli on wam nie wystarczy i zacią-
gacie długi, w nadziei zwiększenia na przyszły rok wa-
szego dochodu, coż się stanie kiedy przyjdą ciężkie
czasy, a nie będzie w zapasie grosza na wszelki przy-
padek zaoszczędzonego? Na nic się wówczas nie przy-
dadzą i meble aksamitne, i słupy marmurowe, i kan-
delabry złoczone, i suknie materialne po pięćset ru-
bli jedna, i cały ten przepyszny zapas koronek zdo-
biących żony wasze, co taką zazdrość wzbudzał w tych
damach, których mężowie nie mają trzydziestu tysię-
cy złotych dochodu. Wszystkie te stroje i graciki nie
mają ani grosza rzeczywistej wartości, a jeszcze wię-
cej są bezużytecznymi kosztowne przyjęcia, życie
w świecie i t. d., które zaraz ciągną się za niemi, jak
ogon za kometa. Przyjdzie nareszcie czas, że miarka
przebierze się, nie zabraknie chęci wydawania, ale
pieniędzy nie stanie, trzeba będzie z konieczności spu-
ścić z tonu, i powoli, w cichości odsunąć się od tych
wszystkich studzien (czytaj *pomp*) światowych, i oto
dlatego w resursie wielkiej tak mało teraz bywa osób
na wieczorach tańczących.

A w resursie nowej całkiem odmienna rzeczy po-
stać. Tam dyamenty nie błyszczą, jedwab' jest rzad-
kością, kosztowne tualety odróżnieniem. Nowa resur-
sa nie uważa się wcale zaizbę parów, albo raczej pa-
rowych angielskich, owszem, bierze rzeczy po obywa-
telsku, i dobrze jej z tem. A pomiędzy członkami
nowej resursy niemało ludzi zamożnych i bardzo za-
możnych, dowodem tego tak szybkie zebranie fundu-
szów na kupno domu Wernera, który obecnie stał się
własnością tej instytucji. Ale nikt tu nie chce współ-
zawodniczyć z milionerami, ani odnawiać bajki o tej
nadymającej się żabie, która tak często niestety znaj-
duje u nas zastosowanie. Więc i zabawa idzie lepiej,
duże u nas zastosowanie. Więc i zabawa idzie lepiej,
i wesołość ciągle rośnie, i rodzinne niejako kółko two-
rzy się z zebranego tam towarzystwa. Galeryi niema,
a choćby była, stałaby pustkami, bo żadna z dam nie
lęka się za skromnie być ubraną; tam zdołają mło-
dość, wdzięki, ale nie koronki i jedwab'. Salonik zaw-
sze pełny, a jednak nowa resursa i połowy tylu człon-
ków nie liczy co wielka. W czemże więc leży ta wy-
bitna pomiędzy niemi różnica? Oto w tem, że nikt
w nowej resursie po za swoją sferę wychodzić nie pra-
gnie.

Delegowani członkowie towarzystwa dobroczynno-
ści zbierają obecnie składki na drzewo dla ubogich.
Składki te idą dość obficie, jak zwykle jednak zdarza

się że ci, którzy najwięcej daćby powinni, najmniejszy
składają datek. Jeden z delegowanych rozpowiadał
mi, że pewna bardzo majątna dama nie chciała go
wcale przyjąć i tylko oddała mu półrubla dla lokaja.
Lokaja wziął jednak taki wstyd za panią, że drugie
półrubla dodał z własnej kieszeni dla honoru domu,
jak mówił. W innym znowu miejscu delegowany przy-
był do sklepu, gdzie pryncypałowa, wychyliwszy się
z poza kantoru, ofiarowała mu złotówkę.

— Jak to? zawołał delegowany, ja, przeczytawszy
nade drzwiami firmę na cały kraj głośną, myślałem
że najmnij kilkanaście rubli dostanę.

— A będzie to w gazetach żem ja dała? zapytała
pryncypałowa.

— Będzie.

— No to masz pau trzy ruble.

Ale najwięcej nas zadziwiła obojętność niektórych
współziomków Szyllera, którzy tłumaczyli się tem, że
nie są krajowcami, więc nie dać nie mogą. Wszakże
żądano od nich nie tych wszystkich skarbów, które
przywieźli z sobą ze swojej ojczyzny, ale drobnej czę-
steczki tych krajowych pieniędzy, które tu na miejscu
zarobili.

O dorocznem posiedzeniu towarzystwa lekarskiego
donosiły już dzienniki, które codziennymi swemi spra-
wozdaniami wrywają nam każdy fakt ważniejszy,
w przeciągu tygodnia spełniony. Zajęła nas bardzo
rozprawa doktora Łuczkiwicza o wpływie gimnasty-
ki na rozwinięcie sił ciała i ducha. Rzeczywiście no-
wożytno pokolenie za bardzo zaniedbało tę znakomi-
tą część higieny, która u starożytnych ludów ważną
grała rolę. Grecy i Rzymianie codziennie parę go-
dzin poświęcali na gimnastykę, należała ona u nich
do najulubieńszych zajęć, stanowiła główną część wy-
chowania młodzieży. Nie znano też wówczas wielu
chorób, które obecnie nas trapią. Sedytaryjne życie
miejskie koniecznie wymaga takich silnych odczynni-
ków; nawet ojcowie nasi mogliby dla nas za wzór pod-
tym względem posłużyć, uważali oni bowiem życie
ruchliwe i czynne jako najważniejsze źródło zdrowia.
Żle czynią rodzice, którzy dbając o rozwinięcie umy-
słów dzieci swoich, zaniedbują ciało. Tutaj koniecznie
zachodzić musi równowaga; wszakże przysłowie fran-
cuzkie mówi, że klinga zużywa pochwę, ale jeżeli ta
ostatnia zła i niedość osłania pierwszą, to i ona ko-
niecznie zardzewieć musi. W człowieku, to jak w na-
rodzie: umiejętne rozwinięcie dobrego bytu material-
nego nie przeszkadza wcale rozwojowi duchowemu,
owszem pomaga mu. Już Anglicy, Francuzi, a przed
innymi Szwedzi zwrócili szczególniejszą bacność na
gimnastykę, a praktyka pokazała że pomnożenie się
tego rodzaju ćwiczeń znacznie wpłynęło na polep-
szenie ogólnego stanu zdrowia. I u nas od kilku lat
gimnastyka zaczyna wchodzić w częstsze użycie aniżeli
dawniej, życzyby tylko należało żeby się stała obo-
wiązującą częścią wychowania.

Chociaż, jak to już kilka razy powiedzieliśmy, kar-
nawał obecny wcale nie należy do ożywionych, wy-
wiera on jednak zwykły swój wpływ na koncerta
i uszczuplił słuchaczy porankowi muzycznemu p.
Taborowskiego, co jednak nie przeszkodziło serdecz-
nemu przyjęciu, jakim zaszczycono młodego arty-
stę, szczególnie przy wykonaniu mazura własnej kom-
pozycji. Pan Taborowski w ciągu upłynionego tygo-
dnia dał się także słyszeć i w kółku prywatnem,
gdzie z wielkim zadowoleniem słuchaczy wykonane
zostały niektóre części z Konrada Wallenroda, z mu-
zyką pana Dobrzyńskiego, o czem czytelnicy w na-
szej „Kronice muzycznej“ obszerniejsze znajdą spra-
wozdanie.

Zapowiedziane w teatrze Rozmaitości przedstawie-
nie komedyjki „Wioska“, przekład z Feuillet'a, nie do-
szło w tym tygodniu do skutku. Znamy tę komedyjkę
w oryginale, należy ona zręczniejszych drobnych utwo-
rów autora Dalili. Przekłady z takich pisarzy jak
Feuillet i Augier bardzo pożądanymi są na każdej
scenie, oprócz bowiem niezaprzeczonego talentu, w każ-
dym z tych autorów przebija poczciwa dążność, a wpływ
tem zbawienniejszy, że dobre jest zawsze z najbardziej
zajmującej strony przedstawione. A to może najwię-
ksza sztuka pisarska, i rzadko który autor ją posiada,
bo zwykle tak się dzieje, że cnota jest nudną, a wy-
stępkiem zajmujący. Z innych nowości mamy zapowie-
dzianą, tyle razy już wspomnianą przez nas, komedyją
„Majątek albo imię“ J. Korzeniowskiego, o której nam
donoszą, że z wielkim powodzeniem przyjętą została
w Kijowie, i drugą komedyją „Scena za sceną“, mniej

znanego dotąd autora. Na wielkiej scenie „List że-
lazny“, dramat Małeckiego, oddany już do nauki, a pró-
by „Hrabiny“ Moniuszki postępują ciągle. Wkrótce
może ta jasnie wielmożna ukaże nam się na scenie,
i nadzieja w Bogu, że niegorsze od siostry swojej chłop-
ki znajdzie przyjęcie. Co to za czarodziejka, ta mu-
zyka, jak ona równa stany!

Zasłużony J. Korzeniowski, pragnąc dać młodym
autorom przykład niezamordowanej pracy i świeżości
ducha, rozpoczął już nową komedyją wierszem p. t.
„Plotkarz.“ Wyborny to przedmiot, a nietknięty je-
szcze prawie wcale. Plotka, ta plaga towarzystwa, jest
prawdziwym kameleonem, przybiera ona tysiączne zna-
czenia i odmiany, poczynawszy od nieszkodliwych plo-
teczek salonowych, cieszących się wielkim wzięciem
pomiędzy płcią niewieścią, aż do tej potwarzy, tak wy-
bornie opisaną przez Bazylego w „Cyruliku“, a gu-
biącej nieraz człowieka na duchu i ciele. Plotka cza-
sem rozśmiesza, czasem rani, czasem zabija, a równą
miarą używa każdej z tych broni; właściwem ona pole-
m dla komedyi, ale wzrasta czasem i do proporcji
dramatu. Nie wątpimy że autor „Żydów“ i „Doktora
medycyny“ zręcznie zdoła z najwłaściwszej strony uwy-
datnić ten błąd towarzyski, od którego, jak powiada
Mahomet, nawet huryski w raju nie będą wolnemi.

Antoni Cypryskiński, jeden z członków założycieli
„Biblioteki warszawskiej“, przeniósł się do wieczności.
Pierwszy to raz, jak wspomnieliśmy K. W. Wójcicki w mo-
wie pogrzebowej, którą uczcił pamięć towarzysza tru-
dów, śmierć wydarła ofiarę z grona tych zasłużonych
pracowników, którzy od dwudziestu blisko lat przo-
dują w ruchu piśmienniczym u nas.

Z serdecznem współczuciem powitaliśmy prospekt
Kuryera wileńskiego, który obecnie pomnaża znacznie
swoje zasoby literackie, krytyczne i naukowe, a tem sa-
mém stanie się odtąd wiernym obrazem miejscowe-
go ruchu. Plan pisma umiejętnie do krajowych za-
stosowany potrzeb, a podana lista współpracowni-
ków, najlepszym jest poręczeniem dla czytających, że
redakcja, przy tak silnem poparciu ze strony uczo-
nych i literatów, znajdzie się w możności wypełnienia
wszystkich swoich obietnic.

Zresztą coż wam powieścić? literatury ani tknę,
zachowuję ją bowiem na post, i będzie to w sam raz
dla niej, wydawnictwo bowiem, jak dotychczas, jest
bardzo chude. Że most na Wiśle stanął już, że trze-
cia maskarada była dość liczna i że cyrk Carrego
wyjechał już z Warszawy, o tem wiecie mniej więcej
wszyscy. Ten pan Carré podczas ostatnich swoich
przedstawięń na dziwny wziął się sposób dla zwabię-
nia publiczności. Puszczal na loteryę konie, potem
zegarki i neserki dla dam, potem ogłaszał publi-
czne zapasy, i pokazało się że warszawski majster
rzeźnicki nie dał się zmódz atlecie, którego dwóch
wołów nie mogło uciągnąć z miejsca.

HUSSARZE POLSCY.

Jakiż to szelest wieje od niebiosów?
Zbliża się, szumi, pędzi uroczyscie.
Pod nim namioty pasają jak liście.
Huice padają podobne do kłosów...
A szum w przelocie rzuca grom siarczysty.
Stał błyskawiczną i strzałowe świsty.
Z wiehrami leci w szalone gonitwy.
Lasy sztandarów depce i wyrzywa.
Hussarzu polski, o muzyko żywa.
Ty byleś orkanem bitwy.

Od wieków ludy, w zroku przy kadzieli,
W koło ogniska co w namiotach gaśnie,
Opowiadały ukochane baśnie.
O smokach w łuniej o wrózkach w bieli:
A kto chciał mówić o największym cudzie,
Mówił, że byli uskrzydleni ludzie.
Lecz co duch pieśni smem fantazji strojny,
Ledwie przypuszczał z czarodziejską siłą.
W tobie hussarzu się uwidomiło:
Ty byleś poezją wojny.
Deotyma.

W wojsku dawniej Rzeczypospolitej polskiej, jazda
główną stanowiła siłę zbrojną; bo szlachta tylko do
służby konnej chętną była, nie cierpiała pieszej. Pie-
chota też regularna polska zjawia się późno, dopiero
za czasów Stefana Batorego.

Rozległość granic Rzeczypospolitej, obszar pól i ste-
pów, nadawały przewagę jeździe, której szabla i ko-
pia stanowiły broń najstraszniejszą. Strzelba ręczna
była jeszcze w dzieciństwie, mało jej używano, a za-
palana lontem, niewiele skuteczną być mogła. W po-
śród rozmaitych rodzajów konnicy polskiej, hussarze
stanowili czoło i wybór. Była to najwspanialsza

nietylko w kraju, ale w całej Europie jazda. Nic nie mogło jej wyrównać, tak co do okazałości zbroi, jak pewnej przewagi na polu bitwy. Cudowne niemal zwycięstwa jakie odnosili hetmani nasi ze szczupłymi chorągwiemi rycerstwa, nad przemagającymi nieprzyjacielskimi hufcami, wyłącznie zawdzięczali hussarzom. Nazwa ich pochodzi z serbskiego, od wyrazu *Gusar*, zbrojnego jeźdźca oznaczającego. Pierwsze ślady tej sławnej jazdy dostrzegamy za czasów Władysława Łokietka.

Hussarze wyróżniali się od reszty rycerstwa polskiego tak bogactwem i przepychem zbroi, jako też i samego uzbrojenia: z tego powodu sama tylko najmniejsza szlachta służyć w chorągwiach hussarskich mogła. Konie ich tureckie lub natolskie po 200 i 300 czerwonych złotych ówczesnych cenione były za czasów Zygmunta III. Na konia też i zbroję całą fortuna uboższego nie starczyła szlacheca.

Hełm świetny stalowy, stalowy pancerz, także naramienniki i nagolenniki, składały hussarską zbroję: u boku zakrzywiona szabla do cięcia i rąbania, pod lewym kolanem uwiązany do siodła miecz, zwany *koncerzem*, hartowny, długi na pięć stóp, z rękojeścią także długą, ażeby po skruszeniu kopii, używać go zamiast takowej lub rozbitego i leżącego już na ziemi nieprzyjaciela przebijać. Mieli nadto, czworograniaste, ostre młoty, sześć funtów ważące, z długą rękojeścią, do rozbijania żelaznych pętlic i spięcia zbroi na ramionach. Wprawni do rzucania nimi, nie chybiali celu. Młoty te zawieszano przy siodle, na długich często smyczach, ażeby po pierwszym rzucie, bez zsiadania z konia, ściągnąć je można napowrót. Po lewej stronie siodła nosili krucice. Najprzeważniejszą bronią hussarzy i najstraszniejszą dla nieprzyjaciół była kopia, którą szczegółowo opiszemy.

Najdawniejsze kopie hussarskie były na dziewiętnaście stóp długie, wydrążone od końca aż do rękojeści, reszta z pełnego drzewa. Jak daleko szło wydrążenie, określano ją konopnym sznurkiem i bykowcem dla mocy. Na końcu kopii, od grotu czyli ostrza, proporzec tyf-

wona, niebieska i zielona, biała i czarna. Taka kopia, w całym pędzie konia zręcznie użyta, przebijała na wskroś zbroję nieprzyjacielską. Po lewej stronie na ramieniu mieli tarcze ze stalowej blachy, nabijane

sem, na lewym ramieniu. Od barku wносиły się orle lub sępie skrzydła, w srebro oprawne, zarówno chrzestem swoim i konie i nieprzyjaciół trwożące: srebrne pozłacane strzemiona i wędzidła, bogate rzędy na konia, kończyły przystroj hussarski.

Z czasów Augusta II mamy szczegółowy opis kopii. Była blisko trzy sążnie długa, gruba u tuleji jak ramię, a lekka i składna. Drzewce miała z młodej, prostej osiki, wydrążone u spodu, żółto pokostowane. Tuleja, to jest żelazna oprawa u spodu, aż po rękojeść, mierzyła przynajmniej półtora łokcia. Grot był o trzecią część krótszy, czworograniasty. Dla wzmocnienia wietkłej kibici kopii, biegły od grotu na dobre półtora łokcia dwa mocne pręty czyli pióra żelazne: w nich to cała dzielność kopii się ukrywała. Przy dobrej osadzie, były pióra na pół cała szerokie, dwunastą część cała grube i w pół drzewca wpuszczone. Ćwieki, któremi je przymocowywano, mocowano wprzód w occie. Dziurki od ćwieków nie powinny były być wiercone naprzeciw siebie. Główniki od ćwieków były gładkie, polerowane, aby się ręka na nich nie zadzierała. Kitajkowy proporzec, który zwisał poniżej grotu, był koloru żółtego i zielonego, na ćwierć łokcia szeroki, a do pół kopii długi.

Tak uzbrojony hussarz, gdy dosiadł dzielnego rumaka i chorągiew sprawnie w polu się rozwinęła, strachem przejmował najbitniejszych nieprzyjaciół. Stu hussarzy, dwa i trzy tysiące każdej innej jazdy rozbijali: szum proporców i skrzydeł płoszył zdala jej konie. Wiedzieli wrogowie, że uderzając, hussary miała dwa tylko zadania: zwyciężyć lub zginąć, bo nie znała co to jest cofnąć się, a nawet nie umiała i nie mogła, dla ciężkiego uzbrojenia. Dallerac opisuje, że w czasie bitwy pod Pragą, kiedy Jan Kazimierz po odebraniu Warszawy uderzył na połączone sady Szwedów i Brandeburczyków, jedna chorągiew hussarzy, w dzielnej szarży, złamała nieprzyjacielską pierwszą i drugą linią i przedarła się do rezerwy szwedzkiej, lecz nie poparta lekką jazdą, choć napad tak śmiały i skuteczny przeważał zwycięstwo, otoczona, wy-

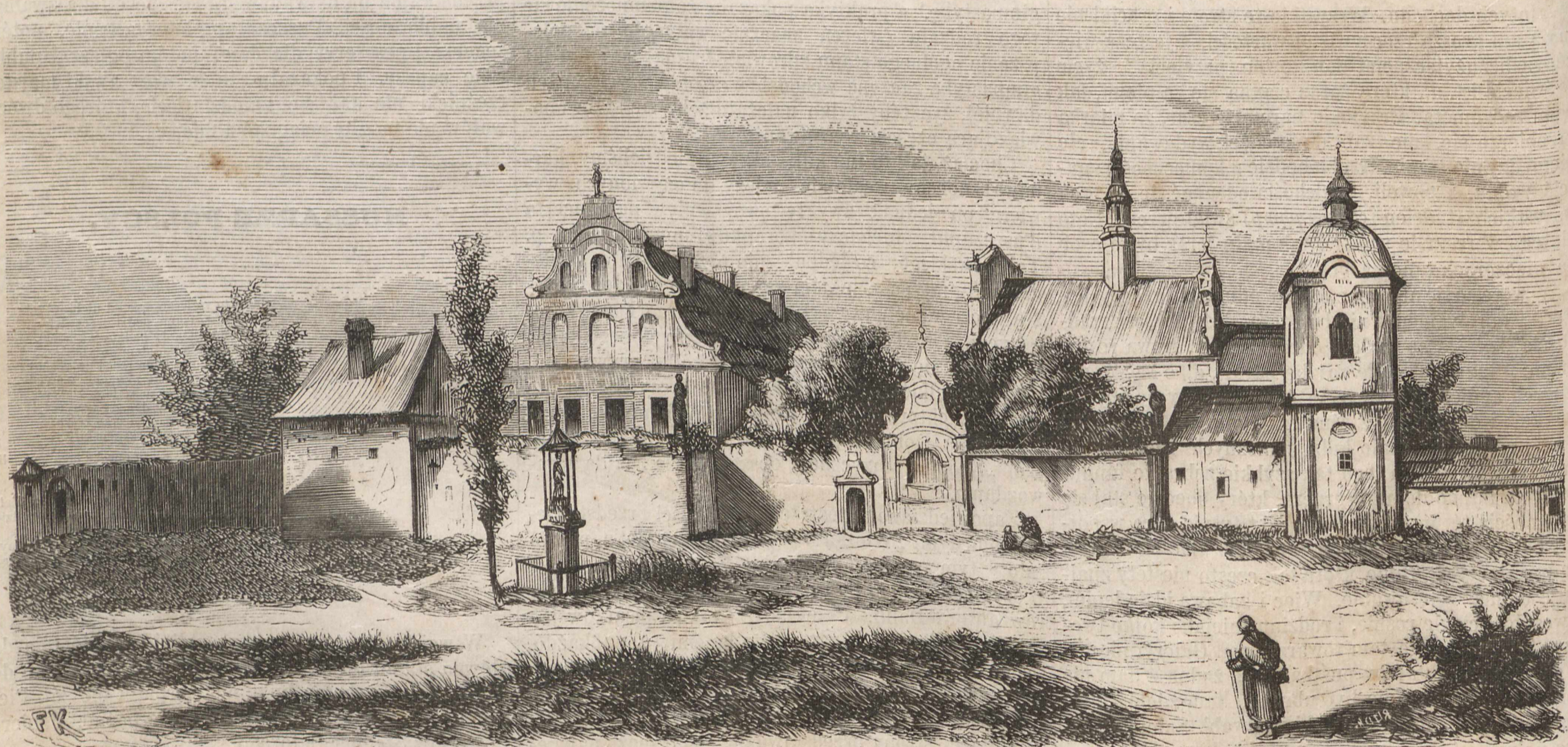


HUSSARZE POLSCY.

(Rysował J. Lewicki, rytował H. Röber w drzeworytni „Tygodnika“.)

bogato złotem i srebrem, które od czasów Zygmunta III zaczęli zarzucać, bo tamowały swobodny ruch na

kięj, lecz nie poparta lekką jazdą, choć napad tak śmiały i skuteczny przeważał zwycięstwo, otoczona, wy-



KOŚCIÓŁ I KLASZTOR PANIEN BENEDYKTYNEK W SANDOMIERZU.

(Rysował Kostrzewski, rytowali Kübler i Rutkowski w drzeworytni „Tygodnika“.)

tykowy długi a wązki, który od połowy do końca, dzielił się na dwoje i zwięzając się coraz, dochodził do ucha końskiego. Barwy tych proporców czyli chorągiewek za króla Władysława IV były: biała i czer-

koniu. Po wierzchu zbroi pokrywali się lwiami, tygrysiemi lub lamparciemi skórami, podbitymi karmazynowym, żółtym, zielonym, niebieskim lub pasowym adamaszkiem, umocowane spiętymi łapami, gdyby pa-

gingęła cała.

Jakie wrażenie sama postawa hussarzy na nieprzyjaciółach czyniła, okaże to następne zdarzenie. Przed sławną bitwą pod Kircholmem, dnia 27 wrze-

śnia r. 1605, za Zygmunta III, pamiętną znakomitem zwycięstwem nad Karolem księciem Sudermanii, gdy ten, pewnym będąc wygraną, huczną dla swoich sprawiał biesiadę, przyprowadzono więźnia polskiego ze związanymi w tył rękoma. Był to Krajewski szlachcic z Litwy, towarzysz hussarski, którego Szwedzi schwytawszy na zasadzce, stawili przed biesiadnikami. Wzrost wyniosły, rycerska Krajewskiego postawa, niezmięszany niewolą umysł, szyszak na głowie, błyszcząca zbroja i lamparcia skóra, dały powód generałom szwedzkim do pochwał wspaniałej i prawdziwie wojowniczej męża postaci. Przypatrywał się największemu Mansfeld, jeden ze znakomitszych wodzów szwedzkich, a długo wlepiony wzrok trzymając na marsowym, śmiałym towarzyszu hussarskiego obliczu, z podziwieniem rzekł do księcia Sudermanii: „Miłościwy panie, jeżeli wszyscy Polacy są do tego człowieka podobni, nie wątpię o tym że się z wojskiem naszym spotkać nie ulegną.“ Zwrzwał gniewem na tę pochwałę księżę szwedzki i obróciwszy się z niechęcią do Mansfelda, zawołał: „Włóż i ty na siebie wilczą skórę, a będziesz równie straszny.“ Pochwała Mansfelda była zgubą dla dzielnego towarzysza hussarskiego, bo nazajutrz, po rozbićciu wojsk szwedzkich, Suderman uciekając na okręt, spotkawszy Krajewskiego bezbronnego i odartego ze zbrojnikczemną zemstą wiedziony, sam go szpadą swoją przebił.

Dzielność tej jazdy polskiej dała powód do przysłowia narodowego: „Dopóki hussarza, dopóty Polaka“, i dzieje sprawdziły starą tę przypowieść, bo Rzeczpospolita dopóty była straszna na polu wojennym nieprzyjaciółom, dopóki hussarza w pierwotnym urzędzeniu i rygorze istniała. Nie daremnie wyrzekł Andrzej Maksymilian Fredro w przysłowiaich swoich: „Póki kopii a hussarza staje, będzie Polak pan w polu: skoro kopia zginie, zginie i Polaka cnota.“

Najwięksi hetmani nasi, jak: Mielecki, Zamojski, Żółkiewski, Chodkiewicz i Jan Sobieski, na hussarskie chorągwie głównie liczyli i przez nie stanowcze odnosili zwycięstwa. Nie chcemy tu robić ujmy innym chorągwiom jazdy polskiej, jak pancernym, kozakom, a następnie i piechocie. Wszak wielki wo-

posiąć się mający, ale *pracę i oszczędność*; bo tylko praca tworzy kapitały, tylko oszczędność gromadzi je i zachowuje.“

Określenie to wyświeca zarazem ważność banków cyrkulacyjnych i innych instytucyj kredytowych, które wprowadzając w ruch małe kapitały, podnoszą pośrednio przemysł i produkcją miejscową.

U nas Bank Polski i Towarzystwo Kredytowe są instytucjami publicznymi, mogącymi wpływ jakiś wywrzcić na stosunki pieniężne kraju; niedawno przybyła do nich trzecia, Dom zleceń rolników płockich, o którym w końcu obszerniej pomówimy. Mimo to wszakże przejście z gospodarstwa pańszczyznianego na czynszowe, a ztąd wynikająca konieczność opłacania

UCYACH KREDYTOWYCH,

nowicie

o zleceń rolników płockich.

nieraz bardzo zawiślanych i nowsi ekonomiści dają i najtrafniejszym wydawało podobno Jeffersona: Kre-

pitatu *już istniejącego*, na go. Ztąd za prawdziwą je-

nie należy nie kapitał posiadany lub

jownik, Stefan Czarniecki, mało miał towarzyszków hussarskich. Używał lżejszej jazdy, bo w żelazo okuci hussarze, do lotnych napadów partyzanckich niezdolni byli; a przecież jak znakomite odnosił zwycięstwa, któremi wy dobył Polskę z jarzma niewoli szwedzkiej i wyswobodził jej granice od chmary wrogów zawziętych.

Ale były też to czasy chylącej się do upadku hussaryi: sami towarzysze tych przesławnych chorągwi tarcze zarzucili oddawna, a teraz zaniechali po większej części i skrzydeł sępic i orlich.

Mówimy o dawniejszych czasach, od Jagiełły do Zygmunta III.

Jan Sobieski polegał głównie na hussaryi, która się pod jego buławą wzmogła i rozrosła. Wielkie zwycięstwo jakie odniósł, będąc hetmanem, pod Chocimem nad przeważnymi siłami bitnych Turków, które mu dało koronę, zawdzięczał piętnastu chorągwiom hussarskim, to znaczy zasługą rolny, zostający bardzo często w ręku dzierżawców uprawiających cudzą glebę. Celowi temu nierównie lepiej odpowiadają banki cyrkulacyjne, pośredniczące w obiegu małych kapitałów, jakich przykład najdoskonalszy widzimy w Szkocji.

Banki szkockie przyjmują do depozytu sumki począwszy od 10 funt. ster., z prawem dowolnego wymówienia, i płacą od nich 2 1/2 — 3%, bilety zaś swoje puszczaają w obieg w cenie po większej części niższej od 5 funt. ster. Nikt tam pieniędzy nie trzyma w domu; każdy ma swoje konto w sąsiednim banku, wnosząc i podnosząc drobne kapitały, stosownie do potrzeby. Zwyczaj ten przyczynia się niezmiernie do obudzenia oszczędności we wszystkich klassach społeczeństwa; służący i robotnicy, na równi z panami swemi, mają w bankach otwarte konta, gdy tylko nagromadzić zdołają 10 funt. ster. Nadto kto tylko znany jest z uczciwości i pracy, otrzymać może, za poręczeniem dwóch odpowiedzialnych współobywateli, kredyt stosowny do swjej potrzeby. Summa tych kredytów cząstkowych nie przenosi na całą Szkocję 100 — 150 mil. franków, lecz zasilając głównie ludzi co zaczynają z maleńkimi kapitałami, wpływa najzbawienniej na rozwój rolnictwa i przemysłu, a nigdy prawie nie zdarza się żeby dłużnik nie wywiązał się ze swych zobowiązań, w tych małych miasteczkach i wioskach, gdzie wszyscy wzajemnie się znają, połączeni są węzłem solidarności interesu i żyją jakby jedna rodzina.

Znaném jest urządzenie ekonomiczne Szkocji: kilka większych miast rękodzielnicznych lub handlowych, trochę rybołówstwa i rolnictwa, walczących nieustannie z tysiącami przeszkodami naturalnymi, a zresztą brak zupełny przemysłu; w niektórych okolicach wielkie majątki ziemskie, w innych rozdrobnione. Banki o władnęły zwolna wszystkie te różnolice przestrzenie. Urządzone najprzód w wielkich miastach, jak Edynburg i Glasgow, rozgałęziły się następnie po całym kraju w 382 kantorach filialnych czyli pomocniczych, i tak ogromne zjednały sobie zaufanie, że dziś najuboższy wieśniak woli ich bilety jak złoto i nie waha się powierzyć im drobnych swych oszczędności. Pod potężnym to wpływem tych banków, Szkocja zupełnie się przeistoczyła, a użyźniona pracą i nakładem, należy dziś do krajów najlepiej uprawionych w Europie; pod ich wpływem ludność rolnicza nabrała tam zaufania w swe siły i owę cechującą ją przedsiębiorczości przemysłowej. Banki szkockie w ostatnich latach posiadały razem kapitału blisko 12 milionów i miały depozytów różnych około 27 milionów funt ster. Bil z r. 1845, ograniczający prawo banków do wypuszczania biletów na okaziciela, ścieśnił zarazem dobroczynne ich działanie, zawsze jednak i dziś jeszcze działalność banków szkockich jest niezmiernie rozległa. Dla podniesienia kredytu i ułatwienia obiegu swych biletów, zaprowadziły one zwyczaj wzajemnej ich wymiany; bank edynburski naprzykład płaci okazicielowi za bilety banku aberdińskiego, lecz nie chcąc ich zatrzymywać w swjej kassie, zwraca je ostatniemu i odbiera nawzajem swoje. Wymiana ta odbywa się dwa razy tygodniowo przez umyślonych agentów, zgromadzających się w Edynburgu. Taki jest w ogólnym zarysie system banków szkockich, system wyborny, najdokładniej uorganizowany i długoletnim zwyczajem wrosły głęboko w życie narodowe, który stworzył sobie siły i wyrobił zdolności, będące główną powodzenia jego podstawą.

I u nas, dzięki objawiającemu się od niedawna duchowi stowarzyszenia, dzięki zacnej, obywatelskiej dą-

sarży. Współczesny świadek opisuje, że gdy te, wjechawszy w okopy tureckie, w całym pędzie uderzyły na nieprzyjaciela i zaczęły kruszyć kopie, to zdawało się, chociaż już był listopad zimny i śnieżny, że grzmot straszny, wróżbita piorunów i burzy, zahuczał na pochmurném niebie. Wtedy zwycięstwo dopiero przechyliło się na stronę naszą, a połowa większa kopij skruszoną została.

W dziesięć lat później, przy oswobodzeniu Wiednia r. 1683, najpiękniejsza gwiazda ostatni raz zaświeciła hussarzom i opromieniła ich aureolą wieczystej sławy. Tu oni stanowili zwycięstwo.

Jak im ufał król Sobieski, dowodzi jego rozkaz, gdy jednej chorągwi, przed zaczęciem wielkiej bitwy, polecił skruszyć kopie o namiot wielkiego wezyra.

Naoczny świadek, dworzanin przyboczny króla, Mikołaj Dijakowski, tak nam opisuje rzecz całą.

— Już się uszykowało wojsko i król stanął na swojem miejscu. Zawołał król: „A jest rezydent od chorągwi królewicza Aleksandra?“ (Bo takowa jest reguła wojskowa, aby od każdej chorągwi przy wodzu był rezydent (*).

Przybiega zaraz, temu król rozkazuje:

— Biegaj waszeć do chorągwi swojej, aby tu pan porucznik do mnie z nią przychodził.

W tym punkcie przeprowadzono chorągiew; porucznik, natenczas *Zwierchowski*, podkomorzy łomżyński, mówi do króla:

— Przyszedłem tu za znakiem pańskim i czekam dalszego ordynansu waszej król. mości.

Król, wzięwszy perspektywę, a rekognoskując tureckie wojsko, mówi do porucznika:

— Widzisz waszeć tę kupkę, panie poruczniku?

Porucznik odpowiada:

— Widzę, miłościwy królu!

Król do niego mówi:

— Otóż to tam sam wezyr stoi.

I znowu król, wzięwszy perspektywę, a przypatrując się, mówi:

— Dopiero sznury rozciągają *sejwanowe* (sejwan zaś jest ten, którego dla chłodu i cienia żązywają), żebyś mi waszeć

(*) Byli to dzisiejsi adjutanci. Król dnia tego miał przytrokowany do siodła mały lecz głośny bębenek, na którego hasło zbiegali się oddaleni adjutanci. Bębenek ten długo przechowywano w Nieświeżu, w skarbcu Radziwiłłowskim; wzięciu nieodzowną jest władza silna, żeśrodkowana. Przewaga ta zresztą jest tylko pozorną; bo najprzód na ogólnych zebraniach ma głos każdy rolnik posiadający 5 akcyj; powtóre nikt podług ustawy więcej jak trzy głosy mieć nie może. Założyciele więc reprezentują tylko 9 głosów, gdy tymczasem akcyonaryusze dać ich mogą 120, byle tylko w komplecie się zebrali. Zwróciliśmy uwagę na tę okoliczność, ażeby uchylić cień nawet zarzutu od instytucji tak szlachetnie pomyslanej i tyle imieniem samym swych twórców budzącej zaufania.

Otwieranie rachunków czyli kontów na złożoną gotowiznę, wartości lub kaucyje hipoteczne, przypomina organizacją banków szkockich, o której mówiliśmy wyżej, i niezawodnie dzielnie się przyłoży do podniesienia kredytu, a co więcej do obudzenia w nie-

zalecających się lekką, wesołą a wytwornie instrumentowaną muzyczką, wymienić należy arją trawestującą znaną kawatę Figara z *Cyrulika Sewilskiego*, tercet z chrapaniem pijanego Vertiga, zabawnie pomysły duet „Zegnam cię“ i finał kończący operetkę.

Innego znowu rodzaju muzyka miała miejsce na zgromadzeniu artystystyczno-literackim d. 13 b. m. Znakomity nasz kompozytor Dobrzyński, przedsięwziął napisanie muzyki do *Wallenroda*, wspianego poematu Mickiewicza. W czerwcu r. z. na koncercie danym w salach reutowych, słyszeliśmy jeden dopiero ustęp z tej ogromnej kompozycji: *marsz krzyżaków* na samą tylko orkiestrę; w dniu zaś 13 b. m. dwa inne numera przedstawił p. Dobrzyński uwadze licznie zebranych słuchaczy; pieśń *Wajdeloty*, wykonaną przez p. Trochla, i chór *Krzyżaków* przystępujących do obioru mistrza wielkiego. Ze względu na szerokość i piękność stylu, oraz głębokość pomysłów muzycznych, należą one bez zaprzeczenia do najwspanialszych utworów, jakimi sztuka nasza muzyczna w tych czasach pochlubić się może. Jest w nich siła deklamacyi i uczucia, posunięta do granic niezwykłych; szczególnie w chorze poczynającym się od słów: „Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!“ prowadzenie męskich głosów w rozmaitych modulacjach tonacji *des* twarde zdumiewające jest i porównujące. Rzewność znów melodyi w ustępie opowiadania *Wajdeloty* „O pieśni gminna“ zachwyca wdziękiem swoim. Staranność wykonania, lubo tylko z towarzyszeniem fortepianu i podwójnego kwartetu smyczkowego, pod przewodnictwem samego kompozytora, była wzorową, a chociaż utwór ten, przedstawiony takimi środkami, wydał się jako sztych zdjęty z olejnego obrazu, przecież wrażenie było wielkie, głębokie, bo w sercu każdego z słuchaczy potęga słów największego z naszych poetów, ozdobiona szatą wzniosłego muzycznego natchnienia, w całej swój idealnej piękności ukazała się na piedestale sztuki. Podobno już w większej części p. Dobrzyński pracy swojej dokonał; brakuje tylko kilku ustępów, ażeby olbrzymie to przedsięwzięcie ukończonym było. Może jeszcze w ciągu tego roku kompozytor znajdzie sposobność zapoznania z nim ogółu publiczności, a że ono będzie jedną z piękniejszych gwiazd, przyswiecających jasnym blaskiem na drodze jego artystycznego żywota, o tym nikt wątpić nie może.

Oprócz powyższych dwóch ustępów z *Wallenroda*, na pamiętnym tym wieczorze wykonano jeszcze finał z konkursowej *symfonii* tegoż kompozytora, uverture z *Oberona* Webera i kwartet na same głosy Studzińskiego. Pan Taborowski skrzypek, w tych dniach do nas z zagranicy przybyły, wziął także udział w tej prawdziwej uroczystości muzycznej, wykonawszy *serenadę* Leonarda z towarzyszeniem fortepianu. O grze jego na ten raz nic nie powiemy, zamierza on bowiem dać trzy poranki abonamentowe, na których znajdzie pole do wszechstronniejszego przedstawienia swego talentu. Jaki zaś będzie rezultat tych wystąpień, w właściwym czasie nie omieszkamy zdać o tym sprawy czytelnikom naszym.

SŁÓW KILKA O INSTYTUCYACH KREDYTOWYCH,

a mianowicie

o bankach szkockich i domu zleceń rolników płockich.

Z pomiędzy licznych, a nieraz bardzo zawikłanych definicji, jakie dawniejsi i nowsi ekonomiści dają o kredycie, najprostszym i najtrafniejszym wydawało nam się zawsze określenie, podobno Jeffersona: Kredyt, jest to zaliczenie kapitału *już istniejącego*, na rzecz kapitału *spodziewanego*. Ztąd za prawdziwą jego podstawę uważać należy nie kapitał posiadany lub posiadanym się mający, ale *pracę i oszczędność*; bo tylko praca tworzy kapitały, tylko oszczędność gromadzi je i zachowuje.

Określenie to wyświeca zarazem ważność banków cyrkulacyjnych i innych instytucji kredytowych, które wprowadzając w ruch małe kapitały, podnoszą pośrednio przemysł i produkcję miejscową.

U nas Bank Polski i Towarzystwo Kredytowe są instytucjami publicznymi, mogącemi wpływ jakiś wywrzeć na stosunki pieniężne kraju; niedawno przybyła do nich trzecia, Dom zleceń rolników płockich, o którym w końcu obszerniej pomówimy. Mimo to wszakże przejście z gospodarstwa pańszczyznanego na czynszowe, a ztąd wynikająca konieczność opłacania

czeladzi i najemnika; połączenie z rolnictwem różnych gałęzi przemysłu, a więc potrzeba powiększenia wydatków na budynki, inwentarze, maszyny i narzędzia różnego rodzaju, głośnie i powszechnie w ostatnich czasach wywołały narzekanie na brak kapitałów obrotowych w rolnictwie; nie pozwalający ziemianom przedsiębrać nieodzownych nawet ulepszeń. Pożyczki Towarzystwa Kredytowego zaradzają chwilowo tej niedogodności; ale czyż mogą usunąć ją radykalnie? Sądzymy że nie.

Brak kapitałów w społeczności nieobciążonej zbyt ciężarami zewnętrznymi, pochodzić tylko może z braku inteligencji, oszczędności lub pracy. Pierwszej odmówić nie podobna znacznej części naszych rolników; ale na dwóch ostatnich zbywa jeszcze wielu. A czyż zaciągnięcie pożyczki hipotecznej nauczyć zdoła oszczędności i pracy? Zresztą zakłady kredytowe ziemskie pożyczają i pożyczają mogą tylko właścicielom, to znaczy zasilają własność a nie przemysł rolny, zostający bardzo często w ręku dzierżawców uprawiających cudzą glebę. Celowi temu nierównie lepiej odpowiadają banki cyrkulacyjne, pośredniczące w obiegu małych kapitałów, jakich przykład najdoskonalszy widzimy w Szkocji.

Banki szkockie przyjmują do depozytu sumki począwszy od 10 funt. ster., z prawem dowolnego wymówienia, i płać od nich $2\frac{1}{2}$ — 3%, bilety zaś swoje puszczają w obieg w cenie po większej części niższej od 5 funt. ster. Nikt tam pieniędzy nie trzyma w domu; każdy ma swoje konto w sąsiednim banku, wnosząc i podnosząc drobne kapitały, stosownie do potrzeby. Zwyczaj ten przyczynia się niezmiernie do obudzenia oszczędności we wszystkich klassach społeczeństwa; służący i robotnicy, na równi z panami swymi, mają w bankach otwarte konta, gdy tylko nagromadzić zdołają 10 funt. ster. Nadto kto tylko znany jest z uczciwości i pracy, otrzymać może, za poręczeniem dwóch odpowiedzialnych współobywateli, kredyt stosowny do swój potrzeby. Summa tych kredytów cząstkowych nie przenosi na całą Szkocję 100 — 150 mil. franków, lecz zasilając głównie ludzi co zaczynają z małą kapitałami, wpływa najbawiennie na rozwój rolnictwa i przemysłu, a nigdy prawie nie zdarza się żeby dłużnik nie wywiązał się ze swych zobowiązań, w tych małych miasteczkach i wioskach, gdzie wszyscy wzajemnie się znają, połączeni są węzłem solidarności interesu i żyją jakby jedna rodzina.

Znanym jest urządzenie ekonomiczne Szkocji: kilka większych miast rękodzielniczych lub handlowych, trochę rybołówstwa i rolnictwa, walczących nieustannie z tysiącami przeszkodami naturalnymi, a zresztą brak zupełny przemysłu; w niektórych okolicach wielkie majątki ziemskie, w innych rozdrobnione. Banki owdądęły z wolna wszystkie te różnice przestrzenie. Urządzone najprzód w wielkich miastach, jak Edynburg i Glasgow, rozgałęziły się następnie po całym kraju w 382 kantorach filialnych czyli pomocniczych, i tak ogromne zjednały sobie zaufanie, że dziś najuboższy wieśniak woli ich bilety jak złoto i nie waha się powierzyć im drobnych swych oszczędności. Pod potężnym to wpływem tych banków, Szkocja zupełnie się przeistoczyła, a użyźniona pracą i nakładem, należy dziś do krajów najlepiej uprawionych w Europie; pod ich wpływem ludność rolnicza nabrała tam zaufania w swe siły i owę cechującą ją przedsiębiorczości przemysłowej. Banki szkockie w ostatnich latach posiadały razem kapitału blisko 12 milionów i miały depozytów różnych około 27 milionów funt ster. Bil z r. 1845, ograniczający prawo banków do wypuszczania biletów na okaziciela, ściętnił zarazem dobroczynne ich działanie, zawsze jednak i dziś jeszcze działalność banków szkockich jest niezmiernie rozległa. Dla podniesienia kredytu i ułatwienia obiegu swych biletów, zaprowadziły one zwyczaj wzajemnej ich wymiany; bank edynburski naprzykład płaci okazicielowi za bilety banku aberdińskiego, lecz nie chcąc ich zatrzymywać w swój kassie, zwraca je ostatniemu i odbiera nawzajem swoje. Wymiana ta odbywa się dwa razy tygodniowo przez umyślonych agentów, zgromadzających się w Edynburgu. Taki jest w ogólnym zarysie system banków szkockich, system wyborny, najdokładniej uorganizowany i długoletnim zwyczajem wrosły głęboko w życie narodowe, który stworzył sobie siły i wyrobił zdolności, będące główną podstawą jego podług.

I u nas, dzięki objawiającemu się od niedawna duchowi stowarzyszenia, dzięki zacnej, obywatelskiej dą-

żności jej twórców, powstała teraz instytucja, nosząca w sobie zaród przyszłej organizacji kredytu rolnego i mogąca dobroczynne swe działanie rozciągnąć na wszystkie strony kraju, jeżeli spotkaną zostanie zaufaniem i chętną pomocą naszych ziemian. PP. Aleks. Jackowski, właściciel dóbr Boguszyna w powiecie mławskim, Franciszek Kleniewski, właściciel dóbr Zaborowa w powiecie płockim i Gustaw Zieliński, właściciel dóbr Skempe w powiecie lipnowskim, zawarli w d. 11 maja r. z. przed regentem Bryndzą kontrakt spółki pod nazwą: „Dom zleceń rolników płockich.“ Czas trwania spółki oznaczony został tymczasowo na lat sześć, z możliwością przedłużenia tego terminu, na mocy decyzji ogólnego zebrania akcjonariuszów. Kapitał zakładowy wynosi r. 150,000, podzielonych na 1,500 akcji po r. 100 każda, z których połowa została wypuszczoną zaraz, emisyja zaś drugiej połowy nastąpi po wyczerpaniu pierwszej. Cel spółki określa obszernie instrukcja, wydrukowana w numerze 204 r. z. „Gazety Warszawskiej;“ powtarzamy więc tylko w krótkości, że ważniejszymi jej posługami dla dobra współobywateli będą: przyjmowanie w komis płodów rolniczych, dostarczanie ich na zamówienia, udzielanie zaliczeń na płody dostawione do składów spółki lub innych, przez nią za bezpieczne uznanych, otwieranie rachunków czyli kredytów na złożoną gotowiznę, wartości lub kaucyje hipoteczne, nakoniec załatwianie wszelkich stosunków kredytowo-bankierskich, tak w kraju jak i za granicą. Akcje są na okaziciela albo imienne; jedne i drugie przechodzić mogą z rąk do rąk, bez obowiązku donoszenia o tym zarządowi spółki, a tym samym nie podlegają żadnym aresztom i zapowiedziom sądowym. Spólnicy firmowi odpowiedzialni są solidarnie całym swym majątkiem za powierzone sobie fundusze lub wartości. Komitet nadzorczy, złożony z pięciu akcjonariuszów obieranych na lat dwa, czuwa nad biegiem interesów spółki i obowiązany jest zbierać się w tym celu przynajmniej co trzy miesiące. Ogólne zebranie akcjonariuszów odbywa się raz na rok; ażeby mieć na niemi głos, potrzeba być rolnikiem i posiadać przynajmniej pięć akcji. Zebrania te wyrzekają prawomocnie względem kwestyj rozstrząsanych, skoro $\frac{1}{5}$ część akcji przez spółkę wypuszczonych jest na nich reprezentowaną. Akcje spółników firmowych nadają ich właścicielom prawo wotowania na równi z innymi i wchodzi w obliczenie akcji do uprawomocnienia czynności ogólnego zebrania potrzebnych. Paragraf 5 kontraktu spółki zastrzega, że czynności jej mogą być rozciągnięte i do innych części królestwa.

Takie są główne zasady instytucji po raz pierwszy u nas w życie wprowadzonej, której użyteczność praktyczna, obok zacnej dążeń i charakteru prawdziwie obywatelskiego, aż nadto jest dotykana. Niezmierną jej ważność nietylko dla samych rolników, ale dla kraju całego, wykazały już zresztą inne pisma czasowe w obszernych artykułach rozumowanych, różnemi czasy ogłaszanych. Kończymy więc na dzisiaj sprawozdanie nasze rzuceniem kilku jeszcze uwag pobieżnych.

Paragraf 11 kontraktu spółki stanowi, że każdy spółnik firmowy obowiązany jest posiadać 50 akcji, do depozytu złożyć się mających. Tym sposobem trzech założycieli reprezentują sami 150 akcji ($\frac{1}{5}$ część pierwszej emisyji), to jest właśnie liczbę potrzebną na uprawomocnienie czynności ogólnego zebrania. Otóż dochodziły nas głosy niektórych ziemian, upatrujących w tym zbyt zbytnią przewagę szanownych założycieli spółki nad resztą akcjonariuszów. Odpowiadamy na to, że w każdym nowopowstającym przedsięwzięciu nieodzowną jest władza silna, ześrodkowana. Przewaga ta zresztą jest tylko pozorna; bo najprzód na ogólnych zebraniach ma głos każdy rolnik posiadający 5 akcji; powtóre nikt podług ustawy więcej jak trzy głosy mieć nie może. Założyciele więc reprezentują tylko 9 głosów, gdy tymczasem akcjonariusze dać ich mogą 120, byle tylko w komplecie się zebrali. Zwróciliśmy uwagę na tę okoliczność, ażeby uchylić cię nawet zarzutu od instytucji tak szlachetnie pomyslanej i tyle imieniem samem swych twórców budzącej zaufania.

Otwieranie rachunków czyli kontów na złożoną gotowiznę, wartości lub kaucyje hipoteczne, przypomina organizacją banków szkockich, o której mówiliśmy wyżej, i niezawodnie dzielnie się przyłoży do podniesienia kredytu, a co więcej do obudzenia w nie-

zamożnych rolnikach zamiłowania oszczędności i pracy. Swobodnemu krążeniu akcji sprzyja zastrzeżenie, że przechodzić one mogą z rąk do rąk, bez obowiązku donoszenia o tém zarządowi spółki, oraz że nie podlegają żadnym aresztom i zapowiedzeniom sądowym. Solidarna, prawnie obwarowana odpowiedzialność spółników firmowych, daje akcyonaryuszom zupełne bezpieczeństwo materyalne; słowem wszystko tu najsumiennie obmyślane i najbaczniej przewidziane, co tylko wpłynąć może na osiągnięcie rozległego celu, jaki *Dom zleceń rolników płockich* działaniem swoim zakreślił.

Obecnie, po kilkumiesięcznym zaledwo instytucji tej istnieniu, czynności jej takie już przybrały rozmiary, że okazała się potrzeba założenia agencji filialnych w Pułtusku, Wyszogrodzie i Toruniu. Co więcej, z radością donieść nam przychodzi, iż szanowni ziemianie okręgu łomżyńskiego, na zebraniu miesięcznym odbytym dnia 9 grudnia r. z., postanowili jednomyślnie założyć własnym kosztem w Łomży agencją domu zleceń, do załatwienia wszelkich czynności wchodzących w zakres działań tegoż domu. Agencja ta jest na teraz tylko próbą; lecz jeśli się powiedzie, o czém wątpić nie należy, wówczas obywatele łomżyńscy przystąpić mają z funduszami swemi do *Domu zleceń rolników płockich*, który już wtedy z chlubą będzie mógł dodać do swjej nazwy: *i rolników łomżyńskich*.

Szczęście Boże pocziwaj pracy, i oby przykład czcigodnych Łomżan stał się pochopem do zaprowadzenia podobnych instytucji w innych guberniach kraju. Każdy krok na tej drodze ze szczerem powitamy zajęciem, i śledząc z uwagą wszelkie w tym kierunku objawy, chętnie zawsze i skwapliwie podawać je będziemy do wiadomości naszych czytelników.

SUKIENNICE W KRAKOWIE.

Jedną z pomiędzy najwspanialszych budowli, jakie nam król chłopków pozostawił w spuściznie, są bezwątpienia sukiennice, zdobiące po dziś dzień ogromny rynek, krakowski (rynek krakowski ma 11,000 sążni kwadratowych powierzchni). Dużo utracił Kraków ze swoich murowanych skarbów; trzydzieści blisko świątyń znikło bez śladu, a najwięcej z nich zburzonych zostało w latach 1796 — 1809. Padły liczne baszty, wień-

cem otaczające miasto; w gorączce nawet burzenia starych gmachów, ówczesni gospodarze grodu nie oszczędzili starego, wspaniałego ratusza, zaledwie wieżę po nim pozostawiono. Sukiennice przecież oparły się wandalizmowi, i dzisiaj jeszcze mieszkańiec cieszy się, a wędrowiec zachwyca ich widokiem.

Jest jeszcze wzmianka w przywileju lokacyjnym miasta Krakowa, przez Bolesława Wstydliego w r. 1257 wydanym, o sukiennicach. Zdaje się jednakże, iż tém imieniem zwano naówczas jakieś kramy, które w tém samym miejscu zapewne stały. W sto lat dopięro później, t. j. w r. 1358, Kaźmirz Wielki zbudował gmach w tym stanie, jak go dzisiaj widzimy, i przy nim założył wielką fabrykę sukna z postrzygalniami.



SUKIENNICE W KRAKOWIE.

Jest to gmach, a raczej jedna podłużna, sklepiona sala, 360 stóp długa, a 36 stóp szeroka, ze sklepieniem gotyckim. Po obu stronach wewnątrz, w bocznych ścianach znajdują się kamienne, gotyckie odrzwia, prowadzące do kwadratowych izb sklepionych, użytych na sklepy lub składy i na żelazne drzwi zamkniętych. Nad każdymi drzwiami były w malowanych wieńcach wypisane łacińskie godła, jak np. *justitia, virtus, libertas* i t. d.; napisy te dano, przystrajając salę na bal, wydany przez miasto w r. 1815, dzisiaj są już prawie wszystkie zatarte. Po końcach sali nad drzwiami wchodowymi były ganki dla muzyki, które przed kilkunastu laty rozebrano.

W połowie długości sukiennice przecięte są boczna, mniejszej wysokości galeryą, która z dwóch stron tworzy dwa krótkie, sklepione skrzydła, z wyjściami na dwie przeciwne strony rynku.

Budowa cała ciągnie się z północo-wschodu na południo-zachód. Prowadzą do niej cztery bramy, po dwie obok siebie leżące, po końcach gmachu; odrzwia wysokie, ostrym, gotyckim łukiem zakończone, od ulicy św. Jana i Brackiej. Tak te cztery główne, jak i dwa poboczne wnijsia wieczorem i we święta zamknięte bywają żelaznymi kratami.

Ponad główną salą znajduje się druga, a raczej rodzaj strychu z oknami po bokach. Prowadzą do niej wschody, oraz ganki kamienne, ponad głównymi wnijsiami zbudowane.

Zdaje się że dawniej obydwie sale tworzyły jedną, dowodzą tego ślady okien w ścianach; później dopięro, być może iż po pożarze w r. 1557 wydarzonym, obie te sale przedzielono sklepieniem, dla bezpieczeństwa składów i magazynów.

Gmach cały podłużny, w stylu wschodnio-bizantyńskim, dach kryty, od boków ku środkowi spadający. W około mur, uwieńczony zakończeniem w wycięcia lekko ku sobie spływające, a co drugi zdobne obrzynie głowami kamiennymi, wiele ma podobieństwa do budowli weneckich. Widać zestawianego w czasach, kiedy Kraków miał częste stosunki z królową Adryatyku, pośrednicząc wschodnio-zachodniemu handlowi.

Sala dolna, mogąca pomieścić do 7000 ludzi, służyła w świetniejszych czasach Krakowa nietylko za ognisko handlu, ale i uroczystości narodowe w niej obchodzono. Przed sukiennicami stawiano tron, na

którym królowie polscy odbierali hołd i przysięgę, nazajutrz po koronacji, w koronie i ubiorze królewskim. Tu odbywały się bale wydawane przez miasto; tu przyjmowano księcia Józefa i miasto zaprosiło go na bal, wraz z oficerami wojsk które dowodził. Pamiętają Krakowianie tę uroczystość, bo sukiennice cudny przedstawiały widok, przybrane w kobierce, oświetlone tysiącem świec jarzących, Boczne sklepy wyprątnięte, przystrojone gustownie, służyły za bufety i garderoby dla dam. Dotąd jeszcze wiszą drewniane świeczniki z owych pozostałe czasów. (Na wystawie krajowej sztuk pięknych w Warszawie znajduje się z wielką dokładnością zdjęte wnętrze sukiennic, przez Saturnina Swierzyńskiego, krakowianina.)

Przy jednych ze wschodów bocznych wisi na łańcuchu przykuty nóż. Pamiątka to, wedle podania gminnego, strasznego bratobójstwa, popełnionego w czasie stawiania wieży kościoła Maryackiego.

Dwóch braci rodzonych, murarzy, budowało je; lecz gdy starszy, po obejrzeniu wieży braterskiej, ujrzał iż stoi mocniej, a więc będzie wyższą, uniesiony zazdrością pchnął go nożem i stracił ze szczytu wieży. Mordercę ukarano śmiercią, a nóż na pamiątkę niesłychanej zbrodni, ku przestrodze potomnych, przybito u wrót sukiennic.

Dzisiaj sukiennice mieszczą nieco sklepów i więcej składów, oraz wagę miejską w bocznych izbach. Od wschodu przytyka do nich druga galerya, równie długa, lecz niższa, obejmująca tak zwane bogate kramy, gdzie ongi sprzedawano lite pasy i kosztowne materye. Zbudowała je królowa Jadwiga, dla wdów po mieszczanach krakowskich, z obowiązkiem aby się modliły

za szczęście kraju.

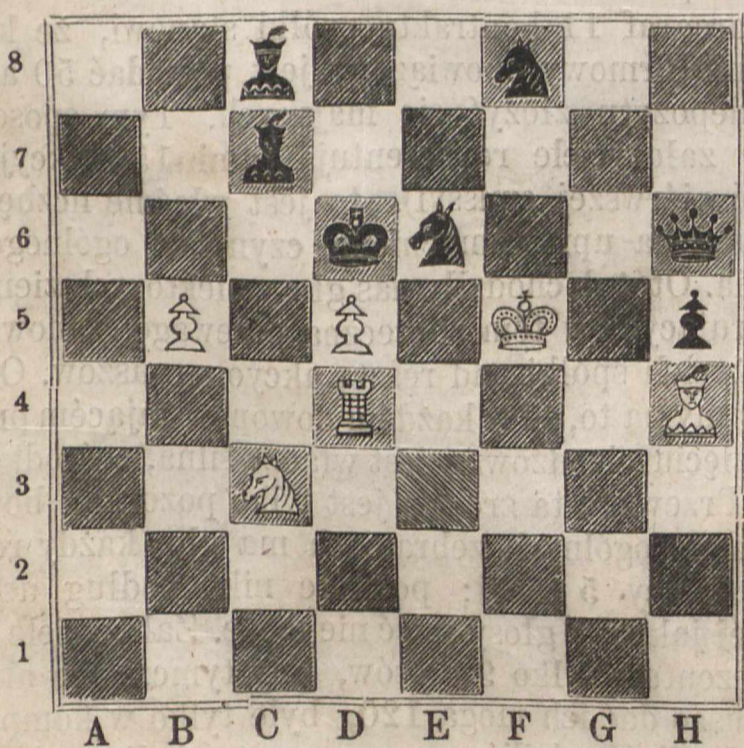
Gmach ten wymaga rychłej restauracji. Za czasów wolnego miasta miał być, wedle oddawna istniejącego planu, odnowiony, a ozdobiony po bokach zewnętrzna kolumnadą, służyć za bazar. Rząd rzeczypospolitej krakowskiej nie mógł się zebrać na doprowadzenie planu tego do skutku. Tém mniej oczekiwania tego można od terażniejszego magistratu, a mieszkańcom, choćby ratować chcieli ten zabytek kaźmirowski, przy ogólnym wyczerpaniu środków materyalnych, zbywa na możności urzeczywistnienia tego zamiaru.

SZACHY.

ZADANIE XII.

Białe zaczynają i dają matę za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr 11.

Białe.

Czarne.

- 1) E 2 — H 5
- 2) F 4 — E 6
- Jeżeli pieszek F 7 bierze konia, to laufer bierze G 6 † i mat. Jeżeli zaś pieszek G 6 bierze laufra, to koń daje matę na G 7 lub C 7.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 16.

nie jeden co jeździ karetą, bywa mocno zaszargany.

(Dodatek.)

Kronika zagraniczna.

Anglia straciła człowieka, który do najznakomitszych inteligencji swojego kraju liczyć się może, a którego imię, znane w całym cywilizowanym świecie, pomiędzy imionami największych historyków swego czasu w księdze dziejów świata zapisanem zostanie.

Czytelnicy domyślają się, że mówimy o lordzie Macaulay, o którego śmierci doniosły wszystkie dzienniki, a którego obszerniejszy nieco życiorys nie będzie tu zbyt przydatnym, tém bardziej że takowego żadne z pism naszych dotąd nie umieściło.

Thomas Babington Macaulay urodził się w Bothley Temple w hrabstwie Leicestershire dnia 25 października 1800 r. z rodziny szkockiej. Jego ojciec, prowadząc handel na brzegach Afryki, własnym doświadczeniem przekonawszy się o zgubnych i potwornych skutkach handlu niewolnikami, był jednym z najzaciętszych i najzapaleńszych abolicjonistów. Młody Macaulay w przykładach swojej rodziny czerpał zasady szlacheckich uczuć, które odznaczał się jego charakter i jego talent, i które przewodniczyły mu w politycznym zawodzie.

Nauki pobierał w kolegium w Cambridge, gdzie odznaczył się niezwykle zdolnościami i wytrwałą pracą. W r. 1826 poświęcił się nauce prawa i wszedł do Incolns Inn. Pisma, w których sąd zdrowy i rzadki talent pisarski zajaśniały, zwróciły od razu uwagę na jego imię, zamieszczone pomiędzy współpracownikami *Knights Quarterly Magazine*, a następnie w *Przeglądzie Edyńburskim*, gdzie wydrukował studium nad Miltonem, należąca do najznakomitszych pódów jego talentu.

W 1830 r. Macaulay, którego imię nabyło już rozgłosu, mianowany został przez miasto Calne członkiem parlamentu, gdzie wkrótce został sprawozdawcą, dzięki wpływowi jaki znakomity jego talent wywierał.

W 1834 r. wybranym został przez miasto Leeds i mianowany sekretarzem kontroli, których to obowiązków rzekł się niezadługo, jako członek rady najwyższej udając się do Indji, gdzie mu poruczono redakcją kodeksu, zwanego *ezarnym*, który nigdy rzeczywiście w zastosowanie wprowadzonym nie był, pomimo że wyborne zawiera w sobie przepisy.

Macaulay powrócił do Anglii w 1838 r. W roku następnym wysłany został do parlamentu przez wyborców Edyńburga i mianowany nieco później sekretarzem w ministerium wojny, w skutek pewnego rodzaju kompromissu pomiędzy torysami i wigami, dla zadowolenia których Robert Peel zgodził się na tę nominację. Wtedy to podniósł on głos na korzyść emancypacji katolików, lecz ta szlachetna tolerancja nie wyszła mu na dobre, gdyż na początku 1847 r. powtórnie deputowanym nie został.

Powróciwszy do prywatnego życia, Macaulay poświęcił się wyłącznie prawie *Historji Anglii*, która miała największą a zasłużoną przynieść mu chwałę. Pierwsze dwa tomy tego dzieła wydrukował w 1848 r. a dwa drugie w 1855. Cała Anglia z dumą i uwielbieniem zaczęła powtarzać imię Macaulaya, a wyborcy edyńburscy, pozbywając się dawnych swoich uprzedzeń, powołali go znowu w 1852 r. do parlamentu jako swojego reprezentanta. W 1857 r. mianowany został członkiem izby lordów.

Jako mówca, Macaulay odznaczał się temi samymi przymiotami, które go tak wysoko jako historyka postawiły. Wzniosłe myśli umiał zawsze z nadzwyczajną prostotą i jasnością przedstawiać. Dziełu jego zarzucano pewne niedostatki, lecz mimo to *Historja Anglii* należy do najpiękniejszych literackich pomników naszego wieku. Nieszczęściem dzieło to pozostało nieukończonem, co boleśniej czyni jeszcze stratę, którą zarówno Europa jak i Anglia oplakuje.

Macaulay pochowanym zostanie w Westminster-Abby, panteonie wielkich ludzi Anglii, obok Addisona.

Oddawszy cześć znakomitemu człowiekowi, z krajny cieniów na świat żywy powracamy.

Włochy nie przestają obudzać powszechnego zafascynowania i współczucia, ci zaś, dla których nieobojętne są losy ojczyzny Kolumbów, Galileuszów, Dantych, Michałów Aniołów, chciwie zapewne czytać będą książkę, która niedawno ukazała się w Paryżu u Hachetta, a nosi tytuł: *Wojny o niepodległość włoską*.

Autorem tego dzieła jest generał Ulloa, którego imię nie może być obcym czytelnikom naszym.

Generał Ulloa jest dziś jedną z największych znakomitości Włoch. Odznacza się on zimnym umysłem i sercem pełnem zapału. Mógł on z dzieła swojego utworzyć apoteozę własnej osobistości, lecz nie dał się skusić podszeptom próżności i tyle tylko mówi o sobie, ile tego wymaga konieczność, jak Cezar w swoich *komentarzach*.

Obrona Wenecji, którą opisuje z drobiazgową skrupulatnością, była polem jego działalności, i tam obok generała Pépé, niepożyty zdobył dla siebie chwałę.

Jakiś wdzięk niewypowiedziany panuje w opowieści generała Ulloa, który posiada wszystkie przymioty tworzące wielkich wodzów, wielkie serca i wielkich pisarzy.

Nie jest on tylko żołnierzem, jest zarazem mężem politycznym, i wszystkie przedmioty których dotknął w swoim dziele, dowodzą wielkiej znajomości ludzkiego serca i stosunków społecznych. Nietylko walczył on, ale przewidział dzień, w którym Włochy wolne będą od Alp aż do Adryatyku, i przedstawił plan organizacyi tego narodu, który od wieków na drobne części i cząsteczki się rozpadał.

Strategik i taktyk, z nieporównaną jasnością przedstawia pole walki, ruchy i manewra wojsk, plany wodzów, i czytelnika zupełnie nieobznajomionego ze sztuką wojowania, stawia w możności wyrokowania o przyczynach wypadków.

Z utworów literackich i artystycznych zarazem, największe, i słusznie znajduje, w tej chwili we Francji powodzenie *Podróż do Pyreneów* pp. Taine i Doré. Pióro pierwszego i ołówek drugiego dokazały cudów. Taine, autor wielu znakomitych prac filozoficznych i krytycznych, w krótkim bardzo czasie potrafił sobie zyskać znakomitą sławę, tak w obozie młodej szkoły francuzkich pisarzy, jak w kole akademickim. Były uczeń szkoły normalnej, posiada on, co rzadkiem jest zjawiskiem, głęboką erudycją, żywą wyobraźnią i oryginalny zupełnie pogląd na rzeczy i ludzi. Doré, tak jak w ilustracyach *Żyda tułacza* i *Opowiadaniach Balzaca*, dowiódł że jest prawdziwym poetą, używającym zamiast pióra, ołówka do wyrażenia swoich myśli. Nie możemy powiedzieć, że ryciny te ozdabiają książkę: nie jest to próżny dodatek, jest to dzieło obok dzieła postawione. Zachwyca on, wzrusza, przestrasza, każe się śmiać i drzcć w tych nieocenionych *Podróżach do Pyreneów*. Polecamy je czytelnikom, a mianowicie czytelnikom naszym, którzy nad tą książką i pożyteczniej i przyjemniej czas spędzić mogą, jak nad powieściami p. About, albo dramatami Alexandra Dumasa syna.

Zajmującym się historją współczesną, polecamy dzieło, którego pierwszy tom dopiero się ukazał, a które składać się ma z dwudziestu pięciu tomów, różnych treścią, choć noszących wspólny tytuł: *Les Contemporains portugais, espagnols et brasiens* par A. A. Texeira de Vasconcellos.

Trzy pierwsze tomy traktują: pierwszy o Portugalii i domu braganckim, drugi o Brazylii, trzeci o Hiszpanii i domu Burbonów. Czwarty poświęcony jest stolicom tych krajów, piąty koloniom portugalskim i hiszpańskim. Reszta od VI do XXV pozostanie na biografie osób żyjących. Pięć pierwszych tomów, jak to wyrażono w przedmowie, dostarczą czytelnikom wiadomości specjalnych koniecznych dla zrozumienia biografii. Będą one rzeczywiście wstępem tylko.

Ważna ta publikacya, do której dołączono karty i portrety, jest prawdziwym pomnikiem, wniesionym w myśli czysto narodowej, dla obznajmienia Europy z dziejami plemienia iberyjskiego. Obfituje ona w wiadomości geograficzne, etnologiczne, filologiczne, statystyczne; zawiera tysiące zajmujących szczegółów o rządzie, administracyi, obyczajach, naukach o literaturze i sztukach pięknych tych krajów, które nierównie mniej są nam znane od innych stron Europy, chociaż pod każdym względem na bliższe poznanie zasługują.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów dnia 16 stycznia 1859 r.

Z Nowym rokiem miały u nas nowe dwa pisma literackie zacząć wychodzić, lecz żadne nie przyszło do

skutku. *Kółko rodzinne*, pod redakcją Aleksandra Szedlera i Jana Zacharyasiewicza, nie otrzymało dotąd koncessyi, z powodu iż nie wykazali się z uzdolnienia na redaktorów. Przyłączenia przez nich wydanych dzieł, namiestnictwo nie uznało za dowód dostateczny. Musieli więc zdawać egzamen z historyi literatury polskiej przed professorem téjże, Dr. Małeckim, i załączyć do prośby otrzymane świadectwo, Nim sprawę rozstrzygnięto, nadszedł Nowy rok. Drukarze, księgarze, strażnicy skarbowi, krawcy i t. p. otrzymują jednak bez najmniejszej trudności i bez wykazywania się ze zdolności literackich koncessye na wydawnictwo i redagowanie pism. Obecnie niema we Lwowie pisma czasowego, któregoby redaktorem odpowiedzialnym, wymienionym na firmie, był literat.

Drugie pismo literackie miało od Nowego roku wychodzić jako dodatek do pisma politycznego „Przegląd”. Zapowiedziano, iż zjednoczyć się mają wszyscy znakomitsi pisarze około Przeglądu, i pisać do Dodatku literackiego, że tym sposobem położy się koniec wszystkim sporom literackim. Miało to znaczyć, iż wydawaniem Dodatku literackiego, Przegląd usunie potrzebę istnienia innych pism literackich, oponujących mu czasem. Jednakże i to szumnie zapowiedziane zjednoczenie nie przyszło do skutku, a więc i Dodatek literacki nie wychodzi.

Wprawdzie Przegląd pojawienie się Dodatku i połączenie znakomitych pisarzy, zawisłem uczynił od nadesłania przez prenumeratorów całorocznej z góry prenumeraty, iżby wydawnictwo nie potrzebowało *nowych robić długów*; niewiadomo więc z pewnością, czy opór literatów znakomitych, czy zawód ze strony abonentów był powodem, że Dodatek nie wyszedł.

Na rok 1859 zapowiedział był przed Nowym rokiem Przegląd, że jeśli się zbierze znaczniejsza liczba prenumeratorów, będzie trzy razy na tydzień wychodził. Liczba istotnie się podwoiła, lecz zawsze nie musiała być dostateczną, aby obietnicy dotrzymać. Redakcyja prosiła również o całoroczną prenumeratę i dla podobnych prenumeratorów premia wyznaczyła. Mając bowiem zamiar wydawania pisma trzy razy na tydzień, potrzebowała większą złożyć kaucyją.

Zresztą prócz podobnych, ubliżających godności dziennikarstwa wybiegów wydawnictwa, pismo to redagowane jest w dobrym duchu; z powodu zaś taniości i zastosowania się do pojęcia klas średnich, oficjalistów prywatnych, księży, mieszczan, jest najwięcej w Galicyi wschodniej rozpowszechnionym dziennikiem, bo liczy przeszło 2000 prenumeratorów.

W opinii ludzi światlejszych szkodzi mu nadzwyczajnie, że polemiki bez osobistości prowadzi nie umie, a z każdej robi paszkwil.

Do felietonu pisze wyłącznie Józef Dzierzkowski, równie jak i kronikę miejscową; przegląd polityczny Rapacki. Oprócz tego bywają zamieszczone i korespondencye z prowincyi, pisane przez ochotników. Pozostałość stanowią wyjątki z polskich i tłumaczenia z niemieckich dzienników. Czasem pojawiają się rozprawy w sprawach miejscowych.

Pod tą samą firmą co Przegląd (Hippolit Stupnicki wymieniony jest jako redaktor odpowiedzialny i wydawca) wychodzi i „Przyjaciel domowy”, dwa arkusze co dwa tygodnie, pismo zbiorowe dla gospodarzy. Jest to kram prawdziwy: wszystkiego w nim dostanie. Jedną połowę prawie stanowią przedruki powieści Kraszewskiego, artykułów Bartoszewicza, poezyj Syrokomli, powiastek Gregorowicza, z „Czytelnicy”, „Teki wileńskie”, „Ateneum” i t. d. Dalej pojawiają się tam wszystkie poezye oryginalne wszystkich, których w wolnych chwilach napada chętka wierszowania, wreszcie połowę drugą pisma zajmują rzeczy gospodarskie, z małym wyjątkiem same prawie przekłady z encyklopedycznych spisów tajemnic, środków lekarskich i sposobów domowego gospodarstwa, dotyczących mianowicie chowu bydła, kuchni i t. p. Jako dodatek, redakcyja zamieszcza co drugi numer, a więc co miesiąc, na ostatniej kartce przedrukowane w skróceniu: *Starożytności polskie*, którą to ćwiartkę czytelnicy sobie odciąć, i po latach gdy całe dzieło będzie przedrukowane, w jeden tom oprawić mogą. Oprócz tego co miesiąc bywa dołączony mały arkusik *Herbarza polskiego*, skróconego z Niesieckiego, a dopełnianego z *jakiegoś manuskryptu* (?) Herbarz ten dołącza wydawca już rok siódmy podobno; toby więc z prenumeratorów był tak nieoglednym, iżby przestał prenumerować to pismo, nie miałby kompletu tak użytecznego dzieła. Słuszna

KWESTYA PODRZĘDNA, PRZY KOMINKOWYM OGNIU ROZBIERANA.

(Opowiadanie *Gabryeli*.)

(Ciąg dalszy.)

więc aby każdy prenumerator, umierając, testamentem włożył obowiązek na spadkobierców abonowania „Przyjaciela domowego”. Trzecią część *dochodu czytelnego* z tego pisma przeznaczył wydawca na ochronki lwowskie; a że protektorką tych ochronek była namiestnikowa hr. Gołuchowska, więc wszystkie powiatowe urzędy narzuciły gminom *ex officio* prenumeratę. Od każdej w ten sposób zebranej prenumeraty, magistrat lwowski zatrzymywał 40 krajcarów na ochronki.

Z kolei przychodzi mi mówić o „Dzienniku literackim”. Wymienionym wydawcą i odpowiedzialnym za redakcją jest drukarz Wojciech Maniecki, istotnym zaś redaktorem Jan Dobrzański. Piérwotnie to pismo nazywało się *Nowinami*, lecz po dwóch ostrzeżeniach otrzymanych, zmieniło firmę, aby uchronić się od zakazu. Lecz i „Dziennik literacki” otrzymał już dwa ostrzeżenia i stałby już dzisiaj nad grobem, gdyby nie nowe rozporządzenie ministeryjne, iż po dwóch latach ostrzeżenia tracą swe skutki prawne. Piszą do „Dziennika literackiego” z poetów: Teofil Lenartowicz, Kornel Ujejski, Henryk Jabłoński, Karol Brzozowski, Adam Pajgert, Józef Szujski, Mieczysław Romanowski; z powieściarzy: T. T. Jeż, Walery Łoziński, Józef Szujski, Oswald Pietruski, Julia Goczałkowska, Jan Dobrzański; historyczne rozprawy, rozbiory krytyki: I. L. I. K. Henryk Schmitt, L. Powidaj, Władysław Zawadzki, Kaźmirz Jarochoński i kilku innych. Od Nowego roku umieszcza Dziennik korespondencje z Warszawy, Poznania i Krakowa.

Najsłabszą stroną tego pisma są rozbiory. Jest ich za mało, a te co umieszcza, są za rozwlekłe, więc treści podające jak sądu. Przyćmą artykuły historyczne są jak na pismo tygodniowe czasami za długie. Osobno wydane stanowią dzieła całkowite. Pismo przez to traci na wartości dziennikarskiej.

Najsilniejszą stroną pisma są poezje. Temi „Dziennik literacki” celuje w dziennikarstwie; lecz i tu zdarza się często plewa między czystym ziarnem.

Powieści T. T. J. znane są czytelnikom Królestwa, chociaż nie te które umieszcza „Dziennik”; naszym zdaniem jest to jeden z najznakomitszych obecnie powieściarzy polskich. Walery Łoziński staje się wziętym i ulubionym powieściarzem w Galicyi. Śmiałym piórem maluje on społeczeństwo dzisiejsze nasze. Przyćmą od Francuzów przejął budowę artystyczną powieści, utrzymującą czytelników w ciągłej ciekawości.

Lecz o każdym z pisarzy tutejszych zdam wam sprawę szczegółowo. Dzisiaj kończę o dziennikarstwie.

„Dziennik literacki” wydawnictwo swe oparł na zupełnie bezinteresownych podstawach. Wszyscy stali współpracownicy są zarazem i właścicielami pisma. Z dochodów otrzymuje każdy za swe artykuły pewne umówione honorarium od arkusza; przewyżka zaś dochodów nad wydatki, ma stanowić fundusz rezerwowy i obracać się na podniesienie pisma. W razie zaś, gdyby był niedobór, współpracownicy stali z swego umówionego honorarium obowiązani są go pokryć.

W końcu wspomnieć muszę i o małym piśmku tutejszym, wydawanym dla ludu pod tytułem *Dzwonek*; piśmko to wychodzi co dni dziesięć. (Pisma bowiem wychodzące najmniej raz na tydzień, już podlegają opłacie stęplowej. Dzwonek więc, tłocząc 2000 egzemplarzy co tydzień, musiałby za każdy numer płacić 80 złp. Stemplowa ta opłata jest dla dzienników zabójczą. Pisma warszawskie i francuskie płacą podwójny stempel, niemieckie zaś tylko pojedynczy.) Redaktorem jest Bruno Bielawski, pisarz prawdziwie ludowy. Każdy przedmiot wyklada językiem ludu, lecz bez prowincjalizmów. Długo żył między ludem, więc umie zastosować się do jego pojęcia. Przewyborne humorystyczne powiastki ludowe pisze do tego pisma Walery Łoziński. Znalazło ono wielki rozgłos u nas, bo zaczęło wychodzić od pół roku, a już ma 1500 prenumeratów.

— Ja znam tę pannę Józefę, odezwał się pan Adolf, z wielką o ile mogłam miarkować przyjemnością, nie ze względu na pannę Józefę, ale ze względu na towarzystwo nasze, które właśnie panny Józefy nie znało.

Czytałam kiedyś bardzo zrecznie ułożony registr drobnych, a niesłusznie lekceważonych pociech tego życia. Była tam wzmianka o butach, które w odciski nie urażają, o głowniach na kominku, które się po kilku nieudatnych próbach według swego życzenia ułoży ostatecznie, było o nudnej wizycie, która nas żegnać zaczyna, było o dziecku wrzeszczącym, które za drzwi wynoszą, — ale nie przypominam sobie, czy było o tej przyjemności, której doznają czasem ludzie, gdy wśród zajętych jaką ze słuchu powtarzaną historią, tak jak pan Adolf odezwać się mogą: „ja znam, ja widziałem, ja tam byłem.” Zaraz na pana Adolfa ogólniejsza zwróciła się uwaga i kilka pytających wykrzykników spadło.

— Aa! pan zna pannę Józefę? Doprawdy pan zna pannę Józefę? No proszę, więc pan zna pannę Józefę?

— Tak jest, znam ją bardzo dobrze, choć nieczęsto się widujemy. Zapewne paniom wiadomo iż panna Józefa nie ma rodziców i tylko w domu wujostwa swoich bawi... lub właściwie mówiąc, w domu wujostwa się nudzi, bo tam nudy okropne. Pan wuj ciągle się skarży na złe czasy, a pani wujenka na służące; jak łatwo się domyślic, nieczęstym bywam gościem.

— Jak łatwo się domyślic, powtórzyła półgłosem Olesia.

— Czy pani do mnie co mówi? zapytał pan Adolf.

— Nie panie, ja mówiłam sama do siebie, jak to łatwo się domyślic, że pan nie często bywasz w domu gdzie są tylko nudy okropne i siostrzenica bez posagu, ale ja tego nie mówiłam do pana. I cóż dalej? no, cóż dalej o panie Józefie, nagliła Olesia, a pan Adolf właśnie mówić dalej; bo pan Adolf był istnym św. Sebastianem Olesii: najostrzejsze jej groty w jego bezbronną pierś uderzały zawsze, a on męczeństwo swoje z zadziwiającą znosił cierpliwością. Nie wiem co go zupełnie ujarzmiło, czy usta nielitośne, ale świeżutkim odrysowane karminem, czy zębki ostre bardzo, lecz jak perełki równiutkie i białe, czy nakohiec zaczepne i odporne spojrzenia dwóch turkusowych niezapominajek, w czarną emalią oprawnych.

— Kiedyż się pan po raz ostatni z panną Józefą widział? zapytała panna Wiktoryja, nie przez ciekawość, ręczę za nią, ale przez miłosierdzie, żeby pana Adolfa z kłopotu wyprowadzić.

— Jestem pewna że niezbyt dawno, uprzedziła odpowiadającego zawzięta Olesia.

— I zgadła pani, pospieszył z niezachwianą dobroduszością pan Adolf, byłem tam w przeszły czwartek.

— Na kilka dni przed ślubem Heliodora, dopowiedziała złośliwie piękna okrutnica. Ach! jak żałuję, że pana nie namówiłam, abys z nami do cyrku Renza poszedł, my w ten sam czwartek z całym domem na konne sztuki się wybrali.

— Czemuż nie wiedziałem...

— Przy sposobności wynagrodzisz to sobie, przebrał pan Jerzy swoim powolnym, a gdyby można było ołowek z dźwiękiem porównać, tobym rzekła swoim prawdziwie hogartowskim głosem. Teraz nie trać czasu Adolfe i co prędzej opowiedz jak wyglądała panna Józefa? co mówiła? jakiego koloru suknie miała na sobie? Im więcej udzielisz szczegółów, tém wdzięczniejsze będą ci wszystkie te panie, wszystkie, nie wyłączając panny Aleksandry, która się łatwo bardzo pocieszy, że się z nią razem cyrkowym akrobatom nie przypatrywałaś.

Pan Adolf uśmiechnął się znacząco.

— Aha! rozumiem! Istotnie zdawało mu się że rozumiał, szeroko łokcie na stole rozparł i zaczął opowiadać.

— Panna Józefa ma zwykle bladą i chorobliwą cerę, nie mogę więc osądzić, czy zmizerniała, czy nie, ale to jest pewnym przynajmniej, że głębokiego smutku nie znać po niej. Kiedy wszedłem do pokoju,

przypinała właśnie kokardki niebieskie do białej, świeżo uszytej tiulowej pelerynki. Miała w kraty sukienkę i szafirowe wstążki na głowie; przyjęła mnie bardzo uprzejmie. Jakże się pan mięwa? czy panu katar nie dokucza? bo to pora szkaradna, wszyscy nasi znajomi zakatarzeni, a wujaszka musiałyśmy obie z wujenką przymusowo nieledwie w domu zatrzymać. I o katarze rozmawialiśmy dość długo, a potem o teatrze. Panna Józefa zachwycała się grą pani Ristori, gdy zaś jej ostatnie wystąpienie Żółtkowskiego w zachodzie Słońca przypominałem, śmiała się jak pensyonarka.

— Czy śmiała się bardzo głośno? zagadnął pan Jerzy.

— Tak głośno i tak serdecznie, że aż trzymana w ręku herbatę rozlała.

— Zły symptomat!

— Dlaczego?

— Bo kto się zbyt głośno śmieje, a ma jakikolwiek powód do smutku, ten sobie nerwy rozstraja.

— Ona ich pewnie sobie nie rozstroi. Powiadam państwu, że jest bardzo spokojna. Raz nawet sama z siebie o Heliodorze wspomniała, i to w ustępie zupełnie potocznej gawędki, coś, jak mi się zdaje, że Heliodor obiecał że wsi od swoich rodziców dobrej dziewczyny służącej dla pani wujenki się wystarać; a kiedy umyślnie, tak dla próby, rzuciłem kilka słówek o pięknej panie Maryannie, zaczęła mnie nią przesładować i żartowała sobie, że powinienem białą tasiemką chociaż lewą kieszonkę u czarnej kamizelki obszyć. Słowem, ja tam w panie Józefie żadnego smutku nie dopatrzyłem.

— Czego pan Adolf nie dopatrzył, zdradliwie poparła go Olesia, to już najniezawodniej nie istnieje wcale. Pan Adolf ma wzrok zadziwiająco przenikliwy. Ja to bez żartu, z przekonania mówię, tylko muszę się poprawić, bo niewłaściwego użyłam wyrażenia. Pan Adolf ma wzrok nie przenikliwy, ale wszystko obejmujący, mikroskopowy raczej. Nikt z nas nie dorówna mu w spostrzeganiu drobnostek, pyłków, atomów, jętek niewidzialnych. Pamiętam, jakieśmy byli razem w Saskim ogrodzie tego lata, przeszła nas pani Antoniowa; ja widziałam tylko ogólnie, hurtownie że przeszła pani Antoniowa; pan Adolf natychmiast dopatrzył że miała batystową chustkę do nosa, brabantkami koronkami obszytą, że nosi zbyt ciasne rękawiczki, bo chociaż zupełnie nowe i z parzykiej skórki, już jej się jedna na prawej ręce koło dłoni rozdarła, że między białe stokrotki podpięcia kapeluszonego muszka się tak zaplątała, jakby umyślnie przylepiona. Zgadł mnóstwo dowcipnych pomysłów, jakby to było pięknie i moralnie gdyby się kobiety w muchy na głowę stroiły, a mniej w nosie ich miały i t. d., reszta do spostrzeżeń nie należała. Jednak niech sam pan Jerzy przyzna, czy taki człowiek, który jednym spojrzeniem objął chustkę, gatunek koronki, rękę, rękawiczkę rozprutą i muszkę małą, czy taki człowiek nie dopatrzyłby wielkiego smutku, zwłaszcza też gdy zintencją dopatrzenia go poszedł? Co do mnie, jestem pewną, że owa panna Józefa była przeszłego czwartku bardzo a bardzo wesoła...

— Cóż ja winien, że się przy mnie nie rozpłakała? zdobył się wreszcie na odparcie srogich pocisków pan Adolf. Kłamać nie mogę, opowiadam wszystko jak było.

— Szkoda, szkoda, wtrącił znowu pan Jerzy, konieczne było trzeba coś ciekawszego zanotować. Może jej w jakiej chwili nożyczki na ziemię upadły, może wstążkę przy kokardzie krzywo obcięła....

— Ale nie, wszystko jej szło bardzo zrecznie. No, kiedy państwo chcecie, to się raz igłą ukłuła.

— Igłą ukłuła? powtórzył z doktorskim namysłem pan Jerzy. O czémże właśnie była mowa wtedy?

— Pani wujenka dowodziła mężowi swemu, że konieczne powinien na noc łojem nos wysmarować...

— Ha prawda, trudno ukłucie z wujowskim nosem połączyć, ciągnął dalej w konsyliarskiej powadze pan Jerzy; ale przypomnij sobie inne szczególiki. Gdybyś mógł zacytować aby jedno łzawe spojrzenie, aby jeden ruch desperacki, panna Aleksandra słuchałaby cię... z prawdziwą przyjemnością.

— Mylisz się, panie Jerzy, nie słuchałabym z przyjemnością o cierpieniach nawet zupełnie mi obojętnej i nieznannej osoby, lecz z przyjemnością może powiedziałabym wam wtedy, co sobie o was myślę moi panowie, jak tu jesteście wszyscy, obecni i nieobecni, przytomni i nieprzytomni.

— Jeżeli panią tylko mniemana wesołość panny Józefy wstrzymuje, odrzekł na to pan Jerzy, no to niech się pani zadowoli. Nie później jak wczoraj dowiedziałem się, że jest bardzo niebezpiecznie chora. A teraz koledzy, głowy na dół! oczy w ziemię! słuchajmy pokornie przekleństw i złorzeczeń panny Aleksandry.

— Tak jest, słuchajcie panowie! Każdy z was egoista bez serca, bez sumienia; najpocziwszego jeszcze nie warto pocziwie i całą duszą ukochać. Boga dajby żaden z was nigdy w żadnej kobiecie prawdziwego nie wzbudził uczucia! Spotykajcie na drodze waszego życia same gąski, które od was pokarmu tylko, łączki do spaceru i byle jakiej kałuży do pluśkania się zażądają; albo spotykajcie same sroczki przebiegłe, które was z czasu, rozumu i świecidełek okradną, albo takie kobiety, co mają więcej mózgu pod czaszką niż krwi gorącej w sercu, co nie uwierzą w waszym słówku jedwabnym, nie rozczulą się wazemi rozpaczami, nie zaciekawiają żadną szaradą w waszej indywidualności i nie raczą zastanawiać się nawet, czy to co do nich mówicie jest uchybieniem, czy grzecznością, tak zwaną „impertynencją“, lub tak zwanym „komplementem“.

Domawiając tych słów, Olesia jakies dziwne, fajerkowe spojrzenie w twarzy pana Jerzego utkwiała. Panu Jerzemu w najzłośliwszy jego uśmiech końce warg już się podniosły, gdy panna Wiktorya głosem rozjemnym utarczkę przerwała:

— Jak się pokazuje, słuszne miałam przecucie, że nam przeszłoroczna panna Józefa zamąci tego roczną ze ślubu Heliadora pociechę; jednakże kławatwie Olesi ja nie rzeknę „amen“. Gdyby się spełniła, to właśnie najlepsze kobiety, najgorzejby wyszły na tém; gąsce, sroczce, kokietce, zdarzyłoby się przecież kiedykolwiek ze szczerem przywiązaniem mężkiem spotkać, a same kochające i zdolne do udziału w surowej pracy życia kobiety musiałyby chyba staremi pannami zostawać. Lepiej podobno niech się jedna i druga zawiedzie, byle wszystkie mogły przynajmniej wierzyć, oczekiwać i wymagać. Przyznam się prócz tego, że choroba panny Józefy bardzo mię, niesprawiedliwie może, ale łaskawie, na stronę Heliadora usposobiła. Jużci on musi także wiedzieć o niej, wyobrażam sobie jak mu to jest bolesnem.

— Nie pochwałę się bym miała tak wiele współczucia na zmarnowanie, krótkim, przyciętym głosem rzuciła pani Karolina.

— Ja także wolę panny Józefy niż Heliadora żałować, przyświadczył jej pan Hilary.

— Ja się w sympaty z panną Wiktoryą łączę, wtrącił pan Jerzy. Z dwójga złego, zawszebym wolał zupełne cierpienie, niż czémkolwiek zatrutą radość.

Olesia nie pozwoliła rozwinąć tej myśli patetycznie zadeklamowała wiersze Walterscott'a:

„Where shall the traitor rest,
He the deceiver,
Who could win maiden's brest
Ruin and leave her?
In the lost battle,
Born down by the flying
Where mingles war's rattle
Which grooms of the dying
Ther shall he be lying.

Har wing shall the eagle flap,
O'er the false hearted,
His warm blood the wolf shall lap
Ear life be parted,
Shame and dishonor sit,
By his grave ever,
Blessing shall hallow it
Never! o never!

(Marmion Canto III)

Gdzie znajdzie zdrójca chwilę wytechnie-
(nia)

On uwodzi cię... co bez zadrzenia.
Serce dziewczęcia zwiódł mową swą,
A potem nicenie opuścił ją.

Wszystkiędzi ucieczce z bitwy przegranej,
Od swych współzbiegów niedźwie
(zdeptany).

Tam gdzie się wrzawy bojowej ton
Mieszka z jękami co wieszczą zgon,
Tam legnie on.

Pastwić się będzie orlica dzika,
Pastwić nad sercem złem obudnika,
Nim siła życia ujdzie mu z żył.

Ciepła krew jego wilk będzie pił.
Hańba, sromota, wstyd będą kryty
Nieznanie miejsce jego mogiły.
I błogie nad nią nie błysną dnię,
O nigdy, nie!
O nigdy, nie! (*)

— Więc państwo znaczną większością głosów potępiacie biédnego Heliadora? odezwałam się też na koniec.

— Bardzo przepraszam, nie tak znaczną większością: panna Wiktorya ma uwzględnienie, ja się z imieniem i nazwiskiem na „approbatu“ podpisuję, pani może czarnej gałki nie rzuci, Adolf... .

— Oh! ja rzucam bielutką, co prędzej głos pochwycił, przyznaję się, że sambym wolał Marynię od panny Józefy.

— Tak, tak... zawtórowała ironicznie Olesia, to jest głównie usprawiedliwiająca Heliadora okoliczno-

ścią, że pan Adolf... i nie wątpię, pan Jerzy, tak samo jak on by zrobili.

— Może nie tak samo, poprawił pan Jerzy, ale że przy zdarzonej sposobności to samo, to trudno zaprzeczyć.

— Lecz trudno też zaprzeczyć, że panbyś sobie w takim razie nieuczciwie postąpił. „Nieuczciwie.“ powtórzyła z dobitniejszym naciskiem pani Karolina; trzeba koniecznie rzeczom właściwe im nazwiska i okreśniki dodawać, teraz zwłaszcza, gdy w zdarzeniach, w położeniu u świata, we wrażeniu jakie na ludziach czynią tak mała częstokroć zachodzi różnica. Człowiek który skłamię, zawiedzie, nie dotrzyma danego słowa, jest ze wszelkich powierzchownych względów zupełnie do najsumienniejszego człowieka podobny: nie traci przez to na majątku, nie idzie do więzienia; wszyscy mu się, jak tego grzeczność wymaga, kłaniają; rozmawia, chodzi, śmieje się, je, śpi, słowem nic a nic go nie wyróżnia. Jedynie tylko po nazwaniu czasem domyśleć się można charakteru, jak po nazwisku przypomnieć sobie osobę. Mówi się: ten Piotr, albo ten Jotr, i koniec. O panu Heliodorze powie się, ten zmiennik, i także koniec będzie; wszakże go to nie uderzy, ani go z piękną jego żoną nie rozwiedzie.

— Co do mnie, tobym nie chciał najpiękniejszej w świecie Maryni, jedną godziną niespokojnego sumienia opłacać, rzekł pan Hilary, z pełnością prawdy i uczucia w głosie.

— Kiedy tak, to mi powiedzcie państwo, co też według waszego zdania Heliodor powinien był zrobić? zapytałam stanowczo, bo mi rozjaśnienie tego interesu bardzo było potrzebne.

— Powinien był pierwszego zobowiązania dotrzymać, odpowiedział pan Hilary.

— Chociażby go nawet trochę szczęścia kosztować mogło, dorzuciła pani Karolina.

— I chociaż ani pan Jerzy, ani pan Adolf, takby nie postąpili, zapieczętowała surowy wyrok Olesia.

— Mnie się zdaje, wniosła trochę nieśmiało panna Wiktorya, niech państwo cierpliwie tylko posłuchają. Mówię: mnie się zdaje, o niczem nie przesądzam, ale, według mego przekonania, pan Heliodor daleko ciężej by zgrzeszył, gdyby się był z panną Józefą ożenił, inną kochając kobietę.

— I wielką, wielką masz słuszność, poparłam zatrzymującą się na ogólniku pannę Wiktoryę; wszyscy tutaj od fantazyi potępiamy lub usprawiedliwiamy Heliadora, każdy, niby o nim mówiąc, sam o sobie mówi: „jabym tak zrobił, a jabym tak nie zrobił, jabym to przebaczyła, a jabym nie przebaczyła nigdy“. Mniejsza o wasze indywidualne usposobienia; ja żądam od was miary dokładnie oznaczonej, miary zasadniczej, do którejbym ten fakt przyłożyć mogła. Jest n. p. funt, łokieć, garniec na rzeczy fizyczne, niechże będzie jakaś prawda na rzeczy umysłowe, żebym według tej prawdy o postępku Heliadora wiedziała czego się trzymać: czy go za ciężkim, czy za lekkim uznać, czy na półeczce w rzędzie innych postawić, czy za okno wyrzucić.

— Kiedy chcesz miary zasadniczej, odrzekła mi na to pani Karolina, weź miarę od pierwszego uderzenia serca, aż do grobu; innego łokcia na mierzenie miłości być nie powinno. Czyż zaprzeczysz temu?..

— Innego łokcia może nie będzie kiedyś, kiedyś, jak się wyrobi nieomylniejsza w człowieczeństwie natura. Już dziś go czasem nie bywa dla fenomenalnej, prawdziwej miłości. Ale fenomenalna miłość nie z naszej ery uczuciem; właśnie dlatego, by na nią któraś późniejsza generacja się zdobyła, musimy warunki poprawy przyjmować i uznawać. Jeszcze się dzisiaj człowiek z wrodzonym ukochaniem wyższej piękności i wyższego dobra nie rodzi, jeszcze ciągiem duchowej gimnastyki musi rozwijać w sobie silniejsze władze, kształcić smak wytworniejszy, musi coraz bystrzejsze na jaw wyciągać, a do działania wprowadzać zdolności, coraz sprawiedliwszy sąd o wszystkim i o wszystkich wyrabiać sobie. Otóż nie na tém jego obecna pocziwość zależy, by nigdy przedmiotów ukochania swego nie zmieniał, ale na tém, by zawsze coś lepszego, i zawsze lepiej, zawsze święciej kochał. Serca jak rzeki w biegu nie zatrzymać, serce płynie, rzeka płynie, zmieniają się krajobrazy nadbrzeżne, zmieniają się twarze, imiona; mniejsza o to, byle rzeka do morza zapłynęła, byle serce w nieskończoność zbawienia dopłynęło.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Niel jam nie czciciel bałwanów,
Nie w ziemskie światła ja wierzę;
Nie w wybuch ognia wulkanów,
Nie z ogniem piekieł w przymierze.
Tryumfu dnia mi nie wróżą
Komety płomień ziejące,
Gwebr wierzy tylko w moc Bożą,
Którę obrazem jest słońce.
Cóż że synowie sił ziemi,
Czciciele tylko sił własnych,
Z litością szydzą nad temi,
Co wierzą wróżbie gwiazd jasnych?
O! gwiazdy te na niebiosach,
To tylko godła prawd wiecznych;
A z nich Gwebr wróży o losach,
O celach swych ostatecznych.
A jeśli w długim zbyt mroku,
Stos ofiarny, znak wojenny,
Czczy meteor, jego oku
Zda się zorzy wschód promienny,
I cześć im w stróny uderzy:
On człowiek, popadł w błąd chwili,
Lecz on Gwebr czuje i wierzy,
Że wiara jego nie myli:
Że tylko jasność z wysoka,
Nie z dołu ziemi pożoga,
Zwalczą noc, której pomroka
Zasłania światu twarz Boga.
Aż światło odeń bijące
Moc Arymana ukorzy,
A wtedy Ormuzd, przez słońce,
Na świat rozleje dzień Boży.

A. E. Odyniec.

(*) Gwebr, Giabir i pochodzący ztąd przez skrócenie wyraz *Giaur*, któremu dziś we wszystkich muzułmańskich językach nadano obelżywe znaczenie: *Niewierny*, niegdyś oznaczał tylko wyznawców religii Zoroastra, *Czciciele ognia*, jak ich nazywano, których wyznawcy Mahometa, podbiwszy Persyę, jako bałwochwalców prześladowali i wytepiłi.

Bóg, mówi Zoroaster, jest jeden, przedwieczny, nieskończony, stwórca wszystkiego co jest. Lecz w świecie przez niego stworzonym, działają z woli jego dwie przeciwne sobie potęgi, dobra i zła. Pierwszą zowie *Oromazem* (*Ormuzd*), co znaczy dawca wszelkiego dobra; drugą *Acymanem*, co znaczy pan albo wódz złego. Z tém wszystkiem sam tylko Oromaz był wiecznym i miał kiedyś przeciwnika zwyciężyć. Światło było godłem Oromaza, ciemność godłem Arymana. Podług *Zendu-Westy*, sam Bóg rzekł do Zoroastra: „Światło moje jest w tém wszystkiem co świeci“. Na tych to właśnie słowach opiera się wprowadzona przez niego cześć ognia, palącego się na ołtarzu w świątyniach, na wolnym zaś powietrzu cześć słońca, jako najszlachetniejszego ze wszystkich światel niebieskich, przez które Bóg ożywia i utrzymuje całe swe dzieło stworzenia,



Redakcyja „Tygodnika Ilustrowanego“ otrzymała 25 rsr. od rodziny A. Z. na Instytut muzyczny warszawski. Dar ten doręczony już został dyrektorowi tegoż instytutu.

Panu L. M. w Warszawie. Czyniąc zadosyć życzeniu Pańskiemu, zawiadamiamy go że wyobrażenie Sicińskiego posła upiekiego, zamieszczone w Nrze 15 naszego „Tygodnika“, wykonane zostało na miejscu z natury przez p. Władysława Maleszewskiego, autora artykułu; rysunek zaś na drzewie, wiernie podług oryginału, zrobił p. Ludwik Piechaczek w Warszawie.

Panu St. R. w Warszawie. Nadesłanego zadania drukować nie możemy. Prace innego rodzaju, o ile takowe dla pisma naszego okażą się stosownemi, będą mogły znaleźć pomieszczenie w „Tygodniku“.

Panu M. M. C. w X. Artykułu Pańskiego p. t. „Urywek z życia filantropa“ zamieścić w piśmie naszym nie możemy.

DONIESIENIA.

SPIS OBRAZÓW

po ś. p.

J. F. Piwarskim
pozostałych

w Warszawie przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 1303.

Chrystus w okowach, przez Annibala Caracci. — Sta Weronika. — Najświętsza Panna z Jezusem, otoczona aniołami, przez Francka. Krajowid z monogramem R. C., ze szkoły holenderskiej. — Chrystus pod krzyżem, szkoła holenderska. — Krajowid przy świetle księżycy. — Św. Jan każący do pogan, szkoła włoska. — Sta Cecylia, szkoła bolońska. — Sta Familia, szkoła flamandzka. — Biczowanie Chrystusa, szkoła florencka. — Krajowid, — na froncie podróży napadnięci przez żołnierzy. — Krajowid niedokończony, szkoła holenderska. — Bitwa, przez Simonini. — Krajowid oświecony od księżycy, przez Braumana. — Dzieci bawiące się, jedno z nich siedzące na beczce. — Podobny do powyższego. — Krajowid z monumentem, przez Grundt. — Dwa krajowidy szkoły niemieckiej. — Św. Magdalena w grocie. — Ptaszek. — Złożenie Chrystusa do grobu, przez Smuglewicza. — Adoracja pasterzy (szkie). — Tryumf wiary katolickiej. — Chrystus błogosławiający chleb. — Trzy krajowidy. — Ofiara Abrahama. — Portret kobiety, przez Wojniakowskiego. — Cztery szkice przedstawiające Bachusa, Narcyza, Rycerza przebijającego się mieczem i Rycerza tryumfującego. — Krajowid. — Marynarka gwaszem przez Hackerta. — Marynarka przez tegoż. — Krajowid. — Krajowid przez Jakóba Hackerta gwaszem. — Dwa Biwaki, przez Orłowskiego.

Redakcja Tygodnika Ilustrowanego uprasza w imieniu spadkobierców ś. p. J. F. Piwarskiego, wszystkie Redakcje pism periodycznych polskich, o powtórzenie tego spisu w swoich szpaltach.

KSIĘGARNIA

HENRYKA NATANSONA

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście,
w pałacu JW. Hr. Stanisława Potockiego
Nr. 17,

wprost kościoła ks. Karmelitów,

otrzymała następujące nowe dzieła:

Dokładna praktyczna nauka dla pasieczników jak mają chodzić koło pszczół, aby rozmnożyć przedko pasieki i wydobyć z nich zysk największy możliwy, tak we zwyczajnych naszych ulach krajowych, jako też w ulach dzierzono-wskich, napisał z 30 kilkuletniego własnego doświadczenia Julian Lubieniecki, Tom I w 2ch częściach z 37 rycinami, 8ka Lwów, 1859, rs. 4. — Historia literatury polskiej w zarysach K. Wł. Wojcieckiego, wydanie drugie poprawne i pomnożone, Tom I—III z przedpłatą na 4 tomy rs. 8 kop. 25. — Uwagi o nadużyciu spirytusowych napojów, zebrał Karol Falewicz, 16ka Petersburg, 1859 kop. 15. Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowym wychowaniu panien, przez Żmichowską (Geografia) dwie części, 8ka, rs. 5. — Dobry pszczoliarz czyli wykład zasad wyrozumowanego postępowania z pszczolami zalecany przez Piotra Prokopowicza, opracował Adam Mieczyski, z 60ciu ryc. w tekście rs. 1 kop. 35. — Domowy lekarz homeopata podług dzieł Drów Heringa, Testa i innych, przez J. Podwysockiego, wydanie drugie poprawne i znacznie powiększone, 8ka, cena rs. 2. — Dzieje w Polsce, Litwie i na Rusi z poglądem na wpływ Europy, od 862 do 1859 r., napisał Piotr Czarkowski, cena rs. 1. — Godziny rozmyślenia czyli rady i przestrogi dla młodzieńców przez Karola de Sainte-Foi, przełożone z francuzkiego przez J. z P. B., 16ka, kop. 75. — Handzia Zahornicka, powieść przez Teod. Tom. Jeża, 12, Wilno 1860. rs. 1 k. 35.

KSIĘGARNIA

A. NOWOLECKIEGO

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście wprost
kolumny Zygmunta Nro 457,

otrzymała następujące nowości literackie:

Sozański Ant., Kuczborski i Skarga rozpatrywani pod względem języka, kop. 90. — Skrzyński L. O stosunkach włościańsko-gospodarskich rs. 1 kop. 50. — Kulezycki T. Krawiectwo damskie rs. 1. — Mill John Stuart, Zasady ekonomii politycznej rs. 1 kop. 20. — X. A. Westermajer Kazania dla ludu wiejskiego 2 tomy rs. 3 kop. 60. — Dawne obyczaje i zwyczaje szlachty i ludu wiejskiego w Polsce i ościennych prowincjach rs. 1. — Lubieniecki J. Dokładna praktyczna nauka dla pasieczników, 2 tomy rs. 2 kop. 85.

Od wydawcy pism Mickiewicza.

Ukończywszy w zupełności wydanie pism Mickiewicza w 8 tomach, wraz z obszernym życiorysem jego, a pragnąc upowszechnić te arcydzieła największego naszego poety i uczynić je przystępniejszemi nawet dla mniej zamożnych rodzin polskich: postanowiłem **znakomitą obniżeniem ceny dotychczasowej** ułatwiać żądania, przez ogół czytelników nieraz objawiane. Ogłaszam więc niniejszemu, że ośm tomów pism Mickiewicza, z portretem autora, obniżam na krótki czas z ceny dotychczasowej rsr. 10, **na rsr. 5**, wydanie zaś tychże pism w 8 tomach, na papierze welinowym z portretem poety i 8 stalorytami z ceną rsr. 15, **na rsr. 7**. Osoby na prowincyi zamieszkałe zechcą dołączyć na koszt przesyłki za każdy egzemplarz 8-tomowy rsr. 1.

Warszawa, dnia 1 stycznia 1860.

S. H. Merzbach.

NAKLADEM KSIĘGARNI

S. H. Merzbacha

przy ulicy Miodowej Nro 486a,

wysły dzieła:

900 najlepszych środków domowych przeciw rozlicznym chorobom i cierpieniom człowieka z przyłączeniem niektórych ważniejszych przepisów lekarskich doświadczonej, od kaszlu, kataru, bólu głowy, kwasów i kurczu żołądka, biegunki, hemoroidów, hypochondry, zatwardzenia, artrytyzmu i reumatyzmu, niemniej od duszności, suchot, zatrzymania uryny, kamienia i gruzu moczowego, robaków, hysteryi, kolik, febrę przemijającą, wodnej puchliny skrofulów, choroby oczu, młodości, zawrotu, brzęczenia w uszach, głuchoty, bicia serca, bezsenności, wyrzutów skórnych i t. p., tudzież skład apteczki domowej przez Hufelanda, na wzór dzieła niemieckiego zebrane ułożone i dwoma traktatami o cholery i o cudownych skutkach zimnej wody pomnożone, przez Beniamina Rosenblum, lekarza praktykującego w Warszawie. Wydanie czwarte powiększone, rs. 1 kop. 20. — *Obraz historii powszechniej skrócony podług zupełnie nowej metody ułatwiającej wykład i naukę głównych wypadków od stworzenia świata do naszych czasów* D. Lévi Alvarez profesora literatury i historii, członka instytutu historycznego. Wedle ostatniego wydania przekład z fran. Hk. L. 1860, rs. 3. — *Godziny rozmyślenia czyli rady i przestrogi dla młodzieńców*, przez Karola de Saint-Foi, przełożone z francuzkiego przez J. z P. Belejowską. Dziełko to szczególnie poleconem jest przez władzę duchowną oddzielną aprobatą Arcybiskupa Metropolity Warszawskiego JW. Antoniego Melchiora Fijałkowskiego, którą dosłownie tu podajemy: „Z pociech serca pasterskiego przyjęliśmy wdzięczną pracę pobożnej damy, która nową, ważną literaturę duchowną oddała przysługę, przyswojeniem krajowi naszemu dziełka w języku francuzkim oryginalnie wydane, a przełożonego na język polski pod tytułem „Godziny rozmyślenia czyli rady i przestrogi dla młodego wieku“. Sam tytuł objawiający zbawienią myśl autora już dosyć dziełko zaleca, w którym Duch Boży, władając umysłem i sercem piszącego, wsparł skutecznie święte zamiory i onym pobłogosławił Niewinne umysły znajdując tu zbawienne rady praktyczne, do nieustannego postępowania na drodze cnoty zachęcające i przestrogi przeciw rozlicznym niebezpieczeństwom, na jakie wiek młody narażony bywa. Tak przeto w przekonaniu naszym dziełko to oceniwszy; upowszechnienia jego między młodzieżą chrześcijańską, w nadziei, iż błogie przyniesie pożytki — życzymy.“ Cena 75 kop.

Nakładem tejże księgarni wyszedł Xty i XIty zeszyt *Księgi świata* (1859). Zeszyt Xty i zawiera: *Wysciigi koni w Rzymie* (z ryciną na stali); *Skienniewice* przez Juliana Bartoszewicza (dokończenie); *Karol Dickens* przez J. Janiszewską (z drzeworytem); *Podania ludu naszego* (dokończenie) przez J. K. Gregorowicza; *Rabyli* przez Edwarda Sulickiego; *Czewo i most pod niem na Wiśle* (z drzeworytem); *Albertrand* i nieznanego jego rękopisma; *Lobzów* (z drzeworytem wyobrażającym mniemaną mogiłę Esterki); *Mogila Kościuski* (z drzeworytem); *Mięczaki* (z ryciną kolorowaną); *Rozmaitości*. Do zeszytu tego dodane są dla pierwszych 800 prenumeratorów dwie ryciny. Mód i dwa wzory haftu z ich opisaniem. Zeszyt XI zawiera: *Plac zgody w Paryżu* (z ryciną na stali); *Niektóre rysy charakteru Chańczyków i ich zwyczajów*; *Upsal* (z niedrukowanych rękop. *Albertranda*); *Sztokholm*; *Jan Krystian Oerstedt* (z drzeworytem); *John Bright* (z drzeworytem); *Kobieta Doktor* przez J. Janiszewską; *Podróż po Grecyi*; *Wieżówka* (Plotas Anchinga (z ryciną kolorowaną); *Kwiaty cebulowe*; *Podróż do Włoch i na wyspę Malte* przez stolnika P. A. Toksoja w 1697 i 1698; *Tugi w Indyach* przez Edwarda Sulickiego; *Wnętrze kolegium Jagiellońskiego*, dzisiejszej Biblioteki uniwersytetu krakowskiego (z drzeworytem).

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT MUZYCZNYCH

Michała Glücksberga

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście

Nr. 9 (411),

otrzymała na skład główny dziełko p. n.:

ZIARNA I PLEWY

pisma wierszem oryginalne, tłumaczone przez *Władysława Sabowskiego*. Cena egzemplarza rs. 1. Nabyć można w znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

NAKLADEM KSIĘGARNI

Maurycego Orgelbranda

W WILNIE,

kończy się wkrótce druk

SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO

do podręcznego użytku wypracowanego.

Pomimo ceny niepraktykowanej dotychczas, bo o pół niższej od zwykłych księgarskich, wydawca nie krępuje woli publiczności i niezyczącym za całe dzieło oznaczoną cenę uiszczając, sprzedawca będzie pojedyncze zeszyty SŁOWNIKA po pół rubla srebrem. Życzący całe dzieło posiadać, mogą rozpocząć kupno od pierwszego zeszytu i gromadzić w pewnych dogodnych przerwach dalsze, płacąc za każdy po pół rubla. Ze zaś objętość cała z powodu przybywających ciągle materiałów ściśle oznaczoną być nie może, a wydawca pod względem ceny nie chce publiczności w niepowinności zostawiać, przeto ustanawia stałą tylko do końca druku cenę rs. 12. Kto więc w jednej księgarni kupować będzie pojedynczo i w porządku zeszyty od pierwszego poczynając, płacić tylko będzie za 24 poszyty, a resztę bezpłatnie odbierze. Ci zaś co kupować będą poszyty nie w kolei stałej lub nie w jednej księgarni, drożej zapłacą, licząc około 30 zeszytów po pół rubla, wypadnie 15 rs. Kto przez pocztę za pośrednictwem księgarni, wydawcy lub innej jakiegokolwiek słownik oirzy mywać zechce, zapłaci za całe dzieło rs. 13, czyli za 26 poszytów. Wszystkie księgarnie w kraju i za granicą upoważnione są do sprzedawania Słownika zeszytami.

Z powodu częstych zapytań o nowo urządzone warunki przedpłaty na **RUCH MUZYCZNY** w r. 1860, redakcja tego pisma ma zaszczyt objaśnić, że ustanawiając dwojakiemu rodzajowi przedpłaty: 1) na pismo bez dodatku w nutach i 2) na pismo z dodatkiem w nutach, miała na względzie dogodność abonentów i zastosowanie się do ich życzeń rozlicznych, o ile się to dało zrobić. I tak, co do 1go, prenumerata na pismo bez dodatku jest dogodnością, którą ofiarować można było tylko abonentom odbierającym pismo bądź w redakcyi, bądź w księgarniach Warszawskich i prowincjonalnych. Taka prenumerata wynosi: *rocznie* rs. 4, *półrocznie* rs. 2, *kwartalnie* rs. 1. Co do 2go prenumerata na pismo z dodatkiem wynosi w Warszawie *rocznie* rs. 6, *półrocznie* rs. 3, *kwartalnie* rs. 1 kop. 50. Dla prenumeratorów odbierających pocztą, redakcyja wybrać mogła jeden rodzaj przedpłaty, a to dla praktyczności w stosunkach z pocztą. Wybrana przedpłata na pismo z dodatkiem w nutach, bo kilkoletnie stosunki z prenumeratami na prowincyi okazały, że przesyłanie nut bardzo im jest pożądanem, jako zwykle oddalonym od miejsc, gdzie się w nuty zaopatrywać można. Przedpłata na pismo wraz z dodatkiem muzycznym odbierane pocztą wynosi: *rocznie* rs. 7 kop. 45, *półrocznie* rs. 3 kop. 72 i pół, *kwartalnie* rs. 1 kop. 86 i pół. (Kto pragnie oddzielnich na Ruch muzyczny kopert, dopłaci rocznie rs. 2). Co do samego dodatku w nutach, redakcyja zostawia abonentom wybór jego co do ilości i jakości, tak w Warszawie jak i na prowincyi, przekonana że tym sposobem najlepiej usłuży wymaganiom rozmaitym. Kto prenumeruje *rocznie*, ma prawo wybrać sobie nut za rs. 5, *półrocznie* za rs. 2, *kwartalnie* za kop. 75 (złp. 5). Stopniowanie tu wartości dodatku muzy-

cznego do ilości złożonej przedpłaty, pokazuje, że im kto na dłuższy czas zaprenumeruje pismo, tém taniiej wypadną mu nuty. Dla prenumeratorów *rocznych* jest jeszcze jedna więcej dogodność w tem, że zamiast 5-rublowego dodatku, mogą otrzymać za przesłaniem wprost do redakcyi rs. 3, całą operę *St. Moninszki Halka*, ułożoną w partyturę fortepianową, a kosztującą w handlu rs. 10. Jakież zaś inne muzykalia redakcyja oddaje do wyboru, okaże katalog dołączony do pisma, zawierający przeszło 150 nazwisk kompozytorów krajowych i zagranicznych i 1,000 z górą Nrów kompozycyj. Redakcyja przy ulicy Aleksandrii Nro 2773.

W ZAKŁADZIE LITOGRAFICZNYM

A. PECQ

przy ulicy Miodowej Nr. 482,

jest do nabycia

KALENDARZYK KIESZONKOWY

drukowany na białym papierze i zważając na małość formatu nadzwyczaj czytelnie drukowany. cena egzemplarza tylko kopiejek 3

NB. Każdy kupujący kalendarz ścienny chromolitografowany Pecqua, lub cokolwiek bądź innego w jego sklepie, dostaje kalendarzyk kieszonkowy bezpłatnie.

DOM HANDLOWO-KOMISSOWY
nasion, produktów, machin
i narzędzi rolniczych.

Otrzymał transport nasion inspektowych, warzyw pastewnych, traw i kwiatów, machin i narzędzi rolniczych; mianowicie poleca młyn z pyłem jedwabnym na kilka gatunków maki i brony wirujące. Otrzymał także bryczki najdyczanki i wózki węgierskie, sery krajowe wyrabiane na sposób holenderski, masę belgijską do smarowania osi i trybów. Tamże dostać można drożdży prassownych i robić zamówienia na makę kartoflową w większych partjach. Komissowego pobiera od sprzedaży konicyzny 10złp. od korca, od zboża 2 procent. — Ulica Miodowa, obok Rządu Gubernialnego.

A. Rodkiewicz.

INSTYTUT

GIMNASTYKI I FECHTOWANIA

Th. Matthes,

przy ulicy Aleksandrya (na Sewerynowie).

Zawiadomiam szanownych rodziców, opiekunów i pp. pensjonarzy, że z dniem pierwszym stycznia r. b., wykład lekcyi w tymże instytucie odbywa się w następującym porządku: 1) Lekcje gimnastyki dla młodzieży żeńskiej udzielają się w godzinach przedpołudniowych; 2) Lekcje gimnastyki dla młodzieży męskiej odbywają się w godzinach popołudniowych do 7ej w wieczór. Lekcje zaś gimnastyki jako też fechtowania dla osób wieku słusznego, wykładają się w godzinach rannych, popołudniowych i wieczornych do 9ej i pół.

DOM HANDLOWY

N. S. BRÜNER & COMP.

Ma honor zawiadomić prześwietną publiczność, że oprócz exystującego Składu Towarów galanteryjnych przy ulicy Miodowej pod Nrem 492, z dniem 13m grudnia r. z. otwarty został

W HOTELU EUROPEJSKIM

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście

(pod Nrem 15 nowym)

Drugi Magazyn

Towarów galanteryjnych, francuzkich, angielskich, i innych w najkompletniejszym wyborze, a mianowicie:

Pajaki, Zegary stolowe i ściennie, Świeczniki, Wazony, Kandelabry, Lampy stojące wiszące, Konsolki, Brzy do franek, Laski, Broszki, Bransoletki, Deszczochrony. A tout Cas. Spicruzi, Portmonetki, Cygarniczki, Pugilaresy, Kapelusze jedwabne paryzkie, Porcelana chińska, francuzka i starsaska, Kalosze i Paletoty gutaperkowe, Przybory do podróży, Toaletki, Nesseserki, Perfumy, Pomady, Mydła i wszelkie wyroby brązowe i porcelanowe. Polecając się prześwietnej publiczności, wyżej wymienionym Dom handlowy starać się będzie przez najumiarkowańsze ceny i rzetelną usługę, w nowym tym magazynie, zasłużyć sobie nadal na zaufanie i na względy, którymi dotąd Publiczność go zaszczycała.